STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA KRAKÓW
www.spp-krakow.org

QUOD LIBET

ISSN-1897- 4856
Nr 04/2012
78

TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE



W numerze:

NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
SKŁADA
SWOIM CZYTELNIKOM

REDAKCJA
I ZARZĄD SPP

SPOTKANIA NA KRESACH GRÓDEK PODOLSKI

W wyniku zawarcia międzynarodowej umowy Królestwa Polskiego z Wielkim Księstwem Litewskim (Unia lubelska) w 1569 roku, Ukraina została przyłączona do Królestwa Polskiego nazwanego Rzeczypospolitą. Olbrzymie terytoria urodzajnego czarnoziemu wymagały zagospodarowania. W związku z tym polscy magnaci przesiedlali tam ze swoich majątków na Mazowszu potrzebnych ludzi do pracy. Konieczny też okazał się rozwój rzemiosła, który przyczynił się do powstania nowych miast. Do takich nowych polskich miast należy Gródek Podolski w województwie kamieniecko-podolskim

Gródkiem Podolskim zafascynowałem się podczas moich wędrówek po Podolu na początku lat 90-tych. Poznałem tam wspaniałego księdza, Władysława Wanagsa (którego gościłem u siebie w Warszawie), pochodzącego z Rygi na Łotwie. Ksiądz Wanags przebywając wśród Polaków, mieszkańców Gródka Podolskiego, poczuł się Polakiem.

*Przedstawiony niżej materiał pochodzi z książki **„Kresy we krwi” Marka Koprowskiego** – wyd. „Fronda”.**

Zygmunt Ostrowski



Jan Matejko – Unia lubelska

Do Gródka najlepiej wybrać się latem, wtedy można poznać urok tego podolskiego miasteczka, położonego w jarze, płynącego wartkim strumieniem w kierunku Dniestru Smotrycza. Wprawdzie ta siedemnastotysięczna miejscowość jest stolicą rejonu, to obok betonowych blokowisk, znajdują się tu kolonie małych domków, ciągnących się wzdłuż wąskich uliczek, idąc którymi, czuje się oddech Rzeczypospolitej, tej z czasów, gdy wzdłuż Smotrycza galopowały hufce pułkownika Jerzego Wołodyjowskiego, a w stronę Jarmoliniec z podjazdem jechał pan Zagłoba. To gdzieś tu właśnie na chłopskim weselu upił się w trupa i wpadł w ręce Bohuna.

Najbardziej znanym duchownym urodzonym w Gródku jest arcybiskup Karagandy Jan Lenga, ogromnie zasłużony dla odrodzenia struktur Kościoła katolickiego w Centralnej Azji w Kazachstanie, Kirgistanie i Uzbekistanie. Urodził się w 1950 roku. Tu ukończył szkołę średnią i w latach 1968-1975 (z dwuletnią przerwą na służbę wojskową) pracował w fabryce obrabiarek. W 1975 roku wstąpił do Zgromadzenia Marianów.

Z Gródka wywodzi się też wielu polskich działaczy, którzy na Środkowej i Centralnej Ukrainie wzięli na swoje barki trud odradzania polskości. Jednym z nich jest Stanisław Kostecki, obecny prezes Związku Polaków na Ukrainie, największej polskiej organizacji w tym kraju.

W czasach sowieckich w Gródku rozwijał się przemysł maszynowy, cukrowniczy, mleczarski, spożywczy i ceramiczny.

Do miasta została doprowadzona kolej. Przez jego południowe obrzeża biegnie linia Kopyczyńce-Jarmolińce. Krzyżują się tu także drogi do Satanowa, Husiatynia i Kamieńca Podolskiego. Na głównym placu Gródka nie pyszni się już pomnik Lenina. Z fasady uniwermagu patrzy Taras Szewczenko.

Restauracja znajduje się w miejscu, gdzie kiedyś stał kościół zniszczony przez bolszewików. Współczesna świątynia nawiązująca wezwaniem do starego, przypominająca o polskich korzeniach Gródka, znajduje się na starym katolickim cmentarzu, kawałek dalej. Obok niej stoją budynki mieszczące Wyższe Seminarium Duchowne diecezji kamieniecko-podolskiej i Dom Miłosierdzia, a także zaplecze parafii, prowadzonej przez księży marianów. Budowle te naruszyły strukturę cmentarza, ale i ocalałe jego fragmenty dają wyobrażenie o tej polskiej nekropolii nad Smotryczem. Ocalałe krzyże nagrobne i pomniki uderzają różnorodnością form i pięknem. Są tu osiemnastowieczne kamienne krzyże greckie i ozdobne łacińskie z narzędziami Męki Pańskiej, z roślinnymi ornamentami i skromne z nieporadnymi płaskorzeźbami o wyraźnie ludowych cechach, zazwyczaj z czaszką praojca Adama u podnóży. Wiele jest też różnorakich metalowych konstrukcji.

Cmentarz ten to główny zabytek Gródka. Pozostałe nie oparły się działaniu historii. Od miejscowych przewodników można usłyszeć, że Gródek w czasie jednego z tatarskich najazdów został kompletnie zniszczony. Tylko na jego obrzeżach pozostały nieliczne chałupy. Do dawnej wspaniałości Gródek już nigdy nie wrócił, choć przed rewolucją bolszewicką były w nim jeszcze klasztor i dwa kościoły. Miejscowi chwalą się, że aby poznać historię Gródka, trzeba zejść głębiej pod ziemię. Twier-

* *Książka ta zawiera 10 rozdziałów. Prezentowany materiał pochodzi z rozdziału 3-go pt. „Mała Warszawa na Podolu”. Jest to materiał zbyt obszerny (a ponadto jednolity w treści), aby mógł zmieścić się w jednym numerze QL, przeto nie chcąc dokonywać skrótów postanowiliśmy zamieścić go w częściach.*
Redakcja

dzą, że tam ciągną się kilometry korytarzy i niezbadanych labiryntów. Jedna z legend głosi, że wzdłuż Smotrycza biegł tunel łączący Gródek z Kamieńcem Podolskim.

Niegdyś o Gródku mówiło się „Mała Warszawa". Przez wieki stanowił bowiem „matecznik polskości", odporny na wszystkie burze i pożogi. Polacy zawsze byli tutaj największą grupą narodowościową. Według oficjalnych statystyk nadal stanowią trzydzieści procent mieszkańców miasta, według polskich działaczy odsetek jest co najmniej dwa razy większy. Część Polaków po prostu się zukrainizowała i dopiero teraz wraca do swoich korzeni. Kto w czasach sowieckich chciał awansować, ten musiał zadeklarować, że jest Ukraińcem, zwłaszcza w Gródku, gdzie otwarte przyznanie się do polskości było traktowane niemal jak publiczne ogłoszenie się wrogiem narodu radzieckiego. W tej miejscowości władze sowieckie robiły wszystko, by zatrzeć polskie korzenie Gródka i wkład w rozwój gospodarczy tej części naddniestrzańskich ziem przez ród Zamojskich, który z pustyni zamienił ją w kwitnącą oazę. Sprowadził on polskich kolonistów znad Wisły i Sanu, którzy zasiedlili Gródek i całą okolicę, tworząc niezwykle prężne i żywotne skupisko. Do jego trwania i rozwoju przyczynili się franciszkanie i propagowany przez nich kult św. Antoniego Padewskiego. W 1778 roku franciszkanie musieli opuścić Kamieniec, a kościół i klasztor oddali pod planowane miejskie fortyfikacje. Biskupem, który zgodził się na usunięcie franciszkanów z Kamieńca Podolskiego, był ordynariusz podolski Adam Krasiński. Wierni kamienieccy długo tego hierarsze nie chcieli wybaczyć. W oczach wiernych uchodził, jak pisał Rolle, za francuskiego jakobina. Ludzie mieli mu za złe, że „nie bronił zakonników, a narzekania były tak wielkie, że pasterz usprawiedliwiał się nawet przed swoją krewniaczką". Pisał do niej między innymi: „Pożegnawszy tedy świętych ojców, wyprawiłem ich z obrazem Św. Antoniego do Gródka, gdzie z wielką radością poszli i gdzie z jeszcze większą przyjął ich Imci p. Zamoyski, wojewoda podolski. P. Orłowski podkomorzy latyczowski dawał 3000 dukatów na fortyfikacje, żeby mu wolno było obraz przeprowadzić do swoich dóbr, ale mu powiedziałem, nie jestem handlarzem, żebym obrazy przedawał... Będą powiadać przed WK Mością, że ja po niemiecku wypędzam zakonników. Nieprawda. Wszyscy mają prawo zabrać, albo sprzedać swój majątek i nie są obligowani zostawić coś więcej, jak tylko dach i gołe mury".

Franciszkanie osiedlili się w Gródku. Przywieźli ze sobą słynący łaskami cudowny obraz św. Antoniego Padewskiego. Święty Antoni został uznany za patrona i opiekuna miasta, mówiono o nim św. Antoni „Gródecki".

W 1780 roku miasteczko liczyło czterysta sześćdziesiąt dwa domy, miało rynek ze sklepami i kilkanaście ulic oraz murowany kościół, zbudowany w 1778 roku. Sama parafia została erygowana już w XV wieku. Pierwszy jej drewniany kościół pod wezwaniem św. Antoniego został spalony przez Tatarów tuż po wzniesieniu. Druga świątynia wzniesiona w 1496 roku pw. św. Stanisława przetrwała do 1550 roku, kiedy to ponownie w stertę popiołów zamienili go Tatarzy. W 1580 roku kościół został odbudowany.

Oprócz franciszkanów w Gródku osiedliły się także siostry miłosierdzia, które założyły w miasteczku niewielki szpitalik i zaczęły zajmować się wychowaniem ubogich dziewcząt. Miasteczko systematycznie się rozwijało. W 1837 roku w Gródku mieściły się zarząd gminy, sąd pokojowy, poczta, apteka, szpital, cukrownia, pięć młynów, gorzelnia, fabryka pasów, sznurów i uprzęży, cztery garbarnie i wytwórnia mydła.

W 1832 roku, w ramach represji popowstaniowych, władze carskie zlikwidowały klasztor franciszkanów. Jego dobra zostały zarekwirowane. Klasztor przejęły siostry miłosierdzia, ale i one w 1870 roku musiały opuścić miasteczko. Wywierały zbyt duży wpływ na mieszkańców i utrudniały ich rusyfikację.

Od czasu upadku Rzeczypospolitej Gródek zmieniał właścicieli. Z rąk Zamojskich przejęli go Mniszchowie. Od nich kupił go baron Gejsmar, generał wojsk rosyjskich. To on założył w miasteczku cukrownię. Szybko jednak pozbył się jej na rzecz spółki akcyjnej. Gródek nabył wtedy na aukcji graf Winogrodzki, prezes banku kijowskiego.

Przed pierwszą wojną światową, oprócz cukrowni, istniały w Gródku: fabryka wyrobów metalowych, zakłady mechaniczne, kilka młynów wodnych, a także zakłady rzemieślnicze. Oprócz dwóch kościołów i klasztoru franciszkanów w Gródku była jeszcze synagoga, cztery domy modlitwy, cerkiew św. Aleksandra Newskiego. Polacy w dalszym ciągu stanowili zdecydowaną większość jego mieszkańców.

Gdy odrodziła się Rzeczpospolita, a także diecezja kamieniecka, mieszkańcy Gródka mieli nadzieję, że ich miasteczko zostanie do niej włączone. Wielu z nich wstąpiło do polskiego wojska. Granica jednak została ustalona na Zbruczu, dwadzieścia kilometrów na zachód od Gródka. Pochody religijne w stronę polskiej granicy nie były jedyną formą oporu wobec bolszewickiej władzy w Gródku i okolicy. Byli i tacy, co chwytali za broń. Aż do 1926 roku działała w rejonie miasteczka partia Michała Dobrogorskiego. – Był to szwagier mojej babci Franciszki Czarnieckiej – mówi artysta malarz Stanisław Gumieniuk. – Skupił on wokół siebie kilkudziesięciu ludzi, napadał na posterunki milicji, bronił ludność przed rekwizycjami, likwidował bolszewickich aktywistów. W 1926 roku jego oddział został rozbity. On sam zginął w zasadzce. Bolszewicy mogli bez przeszkód przystąpić do umacniania swojej władzy.

Władze bolszewickie wzięły na celownik księży pracujących w gródeckiej parafii, upatrując w nich największych wrogów. Pierwszym z nich, który omal nie zapłacił głową za stawianie im oporu, był ks. Józef Sadowski, urodzony w 1872 roku i wyświęcony w roku 1897. Parafią w Gródku administrował od 1910 roku. Liczyła ona wówczas dziewięć tysięcy dwustu wiernych. Gdy w 1921 roku bolszewicy umocnili swą władzę i upaństwowili ziemię kościelną, ks. Sadowski zagroził klątwą kościelną tym, którzy odważą się ją zajmować. Nikt oczywiście ziemi nie ruszył. CZEKA aresztowało księdza podczas nabożeństwa, ale nie przewidziało, jaka będzie reakcja wiernych. Zaczęto bić w dzwony. Zbiegło się kilka tysięcy osób! Czekiści zaczęli strzelać w powietrze i zagrozili, że otworzą ogień do tłumu. Ten jednak gróźb się nie wystraszył i zażądał zwolnienia kapłana. Bojąc się reakcji wiernych, funkcjonariusze księdza wypuścili. Nocą dwaj parafianie – Liczniarawski i Koluga – wywieźli go nad polską granicę, którą przekroczył i w ten sposób ocalił swoje życie. Oni sami zostali aresztowani i rozstrzelani. Po ucieczce ks. Sadowskiego parafią w Gródku administrował ks. Franciszek Trocki, urodzony w 1889 roku i wyświęcony w roku 1912. Dojeżdżał do Gródka ze Skaziniec, gdzie rezydował. Aresztowano go w 1927 roku, osadzono w więzieniu GPU w Płoskirowie i oskarżono o „prowadzenie działalności antysowieckiej, na gruncie ciemnoty i przesądów religijnych, o szerzenie nastrojów antysemickich i nieposłuszeństwa władzy sowieckiej, wykorzystywanie religijności mas dla propa-

gandy na korzyść burżuazyjnego państwa polskiego, którego był zwolennikiem”. Dowodami przeciwko niemu była znaleziona podczas rewizji literatura religijna, odezwa Episkopatu Polski, wzywająca do walki z bolszewizmem, kalendarz kościelny dla księży diecezji kamienieckiej na rok 1925 wydany w Buczaczu itp. Kilka lat spędził w łagrach na Sołowkach, w 1932 roku drogą wymiany więźniów politycznych wrócił do Polski.

Wysoką ocenę pracy ks. Trockiego dali sowieccy urzędnicy. W tajnej informacji dla KC KP(b)U z dnia 25 września 1925 roku Proskurowski Komitet Okręgowy donosił między innymi: „Rejon horodecki nie dysponuje swoim księdzem, dwa, trzy razy w miesiącu przyjeżdża tam ks. Trocki z parafii Skrzyneckiej (...) Ksiądz ten cieszy się dużym autorytetem jako dobry mówca (autor kazań), szczególnie wśród kobiet, wywołując u nich często łzy i ekstazę religijną. Pomaga mu komitet kościelny i rada kościelna licząca 15 osób. (...) 90,5 proc. młodzieży polskiej bierze śluby kościelne. (...) Czysto radzieckich ślubów póki co nie zanotowano. W przypadku wzięcia ślubu cywilnego ksiądz ogłasza takie wydarzenie jako naruszenie dyscypliny religijnej. (...) Ksiądz pilnie śledzi prasę i wydawane przez władze radzieckie dekrety i postanowienia dotyczące prowadzenia nowego kursu «twarzą do wsi». Kościół do dnia dzisiejszego prowadzi jeszcze działalność przeciwko nowej szkole, szczególnie ostatnimi czasy w związku z podniesieniem aktywności polskiej i zainteresowaniem działalnością kulturalno-oświatowa (tzw. otwieraniem szkół polskich, świetlic). Na zebraniach ogólnych wysuwana jest kwestia konieczności prowadzenia w szkołach nauki religii i dopuszczenia księdza. W Gródku ma miejsce szczególny wpływ Kościoła na rodziców, którzy dopiero po długich dyskusjach i tłumaczeniach godzą się na nową szkołę. W Gródku istnieje około 10 kółek religijnych dla dzieci. Ich główną organizatorką jest zakonnica z Kamieńca Zagórska, pomocniczkami jej są siostry Baranowskie. Dnia 15 sierpnia obywatelki te zorganizowały oddział dzieci szkolnych, który udał się zorganizowaną kolumną do kościoła. Ostatnimi czasy komitet kościelny grozi polskiemu domu dziecka, (który został przeniesiony z Proskurowa) w związku z tym, że ten mieści się w budynku byłego księdza. Dzieci nazywane są bandytami i antychrystami. (...) Ksiądz i Kościół z całą energią szukają nowych form i metod pracy, szykują nowych ludzi i możliwości działalności antybolszewickiej. (...) W Gródku istnieje polski klub, ale z powodu braku odpowiedniego kierownika i środków jest całkowicie unieruchomiony”.

Dążąc do złamania ciemnoty religijnej w Gródku, będącej „ostoją polskości”, GPU uciekało się do różnych metod. Przywoziło na pogadanki antyreligijne byłego księdza Eugeniusza Perkowicza, który w 1927 roku wystąpił do podwydziału kultów Płoskirowskiego Wydziału Administracyjnego z prośbą o skreślenie go z listy duchowieństwa i przywrócenie praw obywatelskich. Jego pogadanki nie cieszyły się jednak powodzeniem. Eksksiądz został wyśmiany, gdy powtarzał zebranym treść swoich artykułów, w których pisał, „że droga religii to nie jest dobra droga, że to nie jest służba ludowi, a przeciwnie robota na szkodę jemu, a na pożytek wyzyskiwaczom”. Nieszczęśnik ten, gdy tylko przestał być potrzebny GPU, trafił do łagru, gdzie został zamordowany.

Ostatnim kapłanem, który prawdopodobnie dojeżdżał do Gródka, był ks. Ryszard Szyszko-Bohusz. Swoją posługę na Podolu dzielił na odsiadki w więzieniach i dojazdy do wiernych. Aresztowany ostatecznie w 1930 roku, w 1937 roku został zamordowany na Wyspach Sołowieckich.

Do ostatecznego niszczenia polskiego skupiska w Gródku władze sowieckie przystąpiły w 1936 roku, kiedy rozpoczęły wywózki Polaków do Kazachstanu. Początkowo mieszkańcy okolicznych wiosek dostali sześć dni na przygotowanie się do wyjazdu. Każda z rodzin miała do swojej dyspozycji wagon, w który mogła załadować swój dobytek. Większość Polaków została przetransportowana w okolice Celinogrodu, czyli dzisiejszej Astany. Po ich wywiezieniu władze przystąpiły do zasadniczego uderzenia w społeczność polską. Wysadziły w powietrze kościół św. Stanisława. Cudownego obrazu św. Antoniego na szczęście nie udało się bolszewikom zniszczyć. Stróż kościelny, jak wynika z przekazów miejscowych parafian, wyciął go z ram, owinął wokół swojego ciała, przykrył ubraniem i pod okiem enkawudystów wyniósł go ze świątyni. Wierni umieścili obraz w kaplicy cmentarnej. Była ona od tej chwili jedynym miejscem, w którym przynajmniej najstarsi Polacy mogli spotykać się na modlitwie w języku polskim. Władze sowieckie jednak nie zamierzały tego tolerować. W 1937 roku w ciągu jednej nocy aresztowały w Gródku tysiąc osób, w tym wszystkich wykształconych Polaków, i wywiozły ich do Kazachstanu. W rodzinne strony wróciło zaledwie kilkoro z nich. Wkrótce zamknęły również kapliczkę na cmentarzu i zagroziły, że wywiozą wszystkich, którzy będą się przy niej modlić. Jak wynika z ustnej tradycji przekazywanej przez wiernych, znajdujący się w kaplicy obraz św. Antoniego bojec NKWD wyrzucił do publicznej toalety. Ktoś przechodzący obok zauważył to, wyciągnął obraz z szamba, oczyścił i oddał kobiecie, która uchodziła za liderkę podziemnej wspólnoty.

W 1941 roku do Gródka wkroczyli Niemcy i zgodzili się na ponowne otwarcie kapliczki. Wówczas wizerunek św. Antoniego wrócił na swoje miejsce. Wcześniej, malarz mieszkający w sąsiedniej wsi o nazwisku Kulpa, odnowił cudowny obraz. Domalował też jego dolną część. Stróż, który ratował obraz przed bolszewikami, tak się spieszył, że nie wyciął z ram całego wizerunku świętego. Konserwacja nie odebrała obrazowi jego cudownej mocy. Mieszkańcy Gródka są przekonani, że dzięki niemu miasto nie zostało zniszczone podczas drugiej wojny światowej.

Gdy kaplica została otwarta, zaczęli dojeżdżać do niej księża zza Zbrucza, z dawnych Kresów Rzeczypospolitej, zajętych po 17 września 1939 roku przez Armię Czerwoną. Gdy pierwszy z nich przyjechał do Gródka i rozpoczął pracę w kaplicy cmentarnej, to na cmentarzu ustawiały się kilkusetmetrowe kolejki do różnych sakramentów – chrztu, spowiedzi, małżeństwa, sakramentu chorych. Gdy w 1944 roku Armia Czerwona wkroczyła do Gródka, ksiądz, który przyjechał, by odprawić Liturgię Wielkanocną, natychmiast został aresztowany. Gródczanie od razu postanowili go ratować. Zebrali pół czapki złotych rubli, chowanych na czarną godzinę. Zgłosiło się także dziesięciu zakładników. Ich delegacja poszła do komendanta NKWD i oświadczyła: „Towarzyszu u nas wypada wielkie święto i musimy mieć księdza. Prosimy wziąć, co jest dla was, i zatrzymać zakładników. Ksiądz jutro odprawi nabożeństwo i go sobie zabierzecie”. Komendant pieniądze wziął, a zakładników umieścił w areszcie, księdza „wypożyczył”.

Tego samego dnia został on wyprawiony w nocy za Zbrucz. Wczesnym rankiem następnego dnia odbyło się nabożeństwo, mężczyźni nieśli nisko baldachim i wszystko wyglądało tak, jakby kapłan prowadził procesję. NKWD po nabożeństwie zgłosiło się po księdza, z wściekłością jednak skonstatowali, że ten uciekł. Zakładnicy

zostali oczywiście aresztowani i wywiezieni. Nigdy do Gródka już nie wrócili. Po zajęciu Gródka przez wojska sowieckie, władze rozpoczęły mobilizację Polaków do Ludowego Wojska Polskiego. Zdecydowana większość z nich już nad Smotrycz nie wróciła. Ci, którzy przeżyli, zostali w Polsce. W ślad za nimi pojechali najbliżsi. Do 1947 roku władze zgadzały się na ich repatriację do ojczyzny przodków. Później szlaban zamknęły.

W listopadzie 1944 roku proboszczem w Gródku został ks. Jan Olszański, przyszły biskup kamieniecki. Kiedy przyjechał do Gródka z archidiecezji lwowskiej miał dwadzieścia pięć lat. Gdy w grudniu 1944 roku władze sowieckie aresztowały wszystkich księży pracujących na Podolu, został jedynym katolickim kapłanem na obszarze kilkuset kilometrów kwadratowych. Po dwóch latach władze i jego postanowiły się pozbyć. Chciały bowiem zlikwidować kaplicę cmentarną i rozpędzić związaną z nią wspólnotę. Napotkały jednak na zdecydowany opór wiernych. Kilkudziesięcioosobowe grupy mężczyzn uzbrojone w widły czuwały przy kaplicy. Władze, widząc ich determinację, w końcu skapitulowały. W 1948 roku zezwoliły ks. Janowi na powrót do Gródka. Jego posługa po dziś dzień jest wspominana przez najstarszych mieszkańców miasteczka z ogromnym sentymentem i nabożną czcią. Był traktowany przez nich jako ojciec duchowny, nauczyciel i kaznodzieja. Duszpasterstwo prowadził w języku polskim.

Wiary uczył od podstaw, głosił wielogodzinne nauki, których wierni gorliwie słuchali. Przychodzili nie tylko z Gródka, ale i z miejscowości oddalonych nawet o kilkanaście kilometrów. Wychodzili z domów nocą, by zdążyć na poranną Mszę Świętą. Kaplica, przygotowana na sześćdziesiąt osób, mieściła nawet trzysta. Na zewnątrz stało z reguły dwa czy nawet trzy razy tyle wiernych. Księdzu Olszańskiemu udało się zorganizować regularną pracę duszpasterską. Jego pierwszym ministrantem został Stanisław Gumieniuk. Było to niejako naturalne. Jego ojciec był stróżem kapliczki i cmentarza, a matka wiceprezesem komitetu kościelnego, tzw. „dwadcatki". – Choć dzieci miały surowy zakazu uczęszczania do kościoła, moi rodzice się tym nie przejmowali - wspomina pan Stanisław. – Ksiądz Jan, gdy zobaczył mnie przy ołtarzu, od razu zaproponował, bym został jego ministrantem. Wtedy Msza Święta była odprawiana po łacinie i niewiele z niej rozumiałem. Ksiądz Jan, gdy mu o tym powiedziałem, uśmiechnął się tylko i zaproponował, że będzie mnie uczył łaciny. Przystałem na to z ochotą i dzięki temu nauczyłem się tego języka. Mój ojciec bardzo był z tego zadowolony. Dbał on bardzo o moje wykształcenie i chciał, żebym wyrósł na porządnego człowieka. Bardzo często pytał mnie i rodzeństwo:, Kto ty jesteś? Wtedy my odpowiadaliśmy: Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały. Gdzie ty mieszkasz? Między swymi. Tato wtedy poprawiał „Między świńmy". Wtedy wybuchaliśmy śmiechem.

Ksiądz Olszański potrafił zachęcać parafian do zbiorowego wyznania wiary, do upominania się o prawa Kościoła. W 1951 roku zmobilizował ich, by zebrali jedenaście tysięcy podpisów pod petycją domagającą się zgody władz na rozbudowę kaplicy. Był to absolutny ewenement na terytorium całego Sojuza.

Byle kaprys Stalina mógł spowodować, że wszyscy, którzy podpisali się pod petycją, mogli pojechać na „białe niedźwiedzie". Nikomu jednak nie spadł włos z głowy. – Koordynatorem całej akcji był mój ojciec. To on zbierał podpisy wiernych – mówi pan Stanisław. - Uważał to za swój obowiązek. Nic mu za to nie zrobiono, ale atmosfera wokół naszej rodziny zgęstniała. Ksiądz Olszański, by nie narażać nas na niebezpieczeństwo, przeprowadził się do innych ludzi. Z zachowanych dokumentów wynika, że był stale inwigilowany.

Główny atak na ks. Jana przypuszczono w Gródku dopiero w 1959 roku podczas ofensywy ateizacyjnej Nikity Chruszczowa, rozpętanej w końcu lat pięćdziesiątych. Miejscowa sekretarz partii, tow. Szczerbata, na zebraniu partyjnym oświadczyła: „Albo on, albo ja". Ksiądz Jan musiał opuścić Gródek i przenieść się do Manikowiec, zapadłej dziury, było to niemal równoznaczne z zesłaniem go do łagru. Żegnano go płaczem i łzami. Kilka tygodni później towarzyszka Szczerbata zginęła w wypadku samochodowym. Dla mieszkańców Gródka było oczywiste, że spotkała ją kara Boża za wypędzenie księdza Jana.

Praca księdza Jana nie poszła jednak na marne. Uformowana w miasteczku wspólnota trwała dalej i nie pozwoliła się rozbić. Nie zatraciła też swego języka. Takie rodziny, jak Gumieniuków, twardo trzymały się wiary i polskości. – Choć Polska była oficjalnie zaprzyjaźnionym socjalistycznym krajem, to w szkole wolno o niej było mówić tylko źle – wspomina pan Stanisław Gumieniuk. – W ówczesnym programie nauczania, jak dobrze pamiętam, z polskich poetów był wspominany tylko Adam Mickiewicz, i to tylko dlatego, że spotkał się z nim Aleksander Puszkin. Ze świata nauki uczono tylko o Mikołaju Koperniku. Sienkiewicz zaś to był burżuazyjny nacjonalista. Uczono nas tylko o Pawle Wołodyjowskim, jednym z krewniaków „Małego Rycerza", który w 1640 roku kupił na przedmieściach Gródka majątek za 4890 złotych.

Pan Stanisław za przywiązanie do wiary i polskości zapłacił wysoką cenę. Kiedy szedł do wojska, matka dała mu na drogę obrazek Matki Bożej. Schował go w portfelu razem z dokumentami, jak najdroższą relikwię. – Politruk, który znalazł przypadkowo obrazek w moich dokumentach, wezwał mnie do siebie, zrobił mi wykład o mojej ciemnocie religijnej i chciał go na moich oczach podrzeć. Nie pozwoliłem na to. Odebrałem obrazek, a oficerowi politycznemu dałem w mordę i przewróciłem go na ziemię. Zabrano mnie na „oddział specjalny", gdzie udzielono mi „lekcji wychowania politycznego". Jeszcze trzy miesiące po niej plułem krwią. W moich papierach zapisano też, że „politykę partii i rządu rozumiem nieodpowiednio". Był to „wilczy bilet", który szedł za mną aż do końca istnienia ZSRR. Wszędzie traktowano mnie jako „podejrzanego" i „nieprawomyślnego". O studiach stacjonarnych mogłem już zapomnieć. Wykształcenie plastyczne zdobyłem zaocznie.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku język polski był językiem urzędowym w wielu tutejszych zakładach. Fabryka obrabiarek nazywana była „polską". Każdy mianowany w niej przez władze dyrektor musiał znać język polski. Podobnie było w trzech cukrowniach. Zatrudnieni w nich Polacy organizowali masowe manifestacje pod siedzibą władz, żądając by te zgodziły się na zarejestrowanie w Gródku księdza. Brało w nich udział po kilkaset osób. Ich argumentacja była prosta. Skoro oni dobrze pracują i wykonują zadania postawione przez władzę sowiecką, to ta powinna w zamian zgodzić się, by mieli księdza.

Władze początkowo nie chciały słyszeć o reaktywowaniu w Gródku regularnej parafii. Ponownie podjęły próbę zniszczenia kaplicy. Dwaj miejscowi komuniści, zwani przez mieszkańców psami, wpadli na pomysł, że skoro wierni potrzebują więcej miejsca do modlitwy, to trzeba dać im większe pomieszczenie zastępcze pod

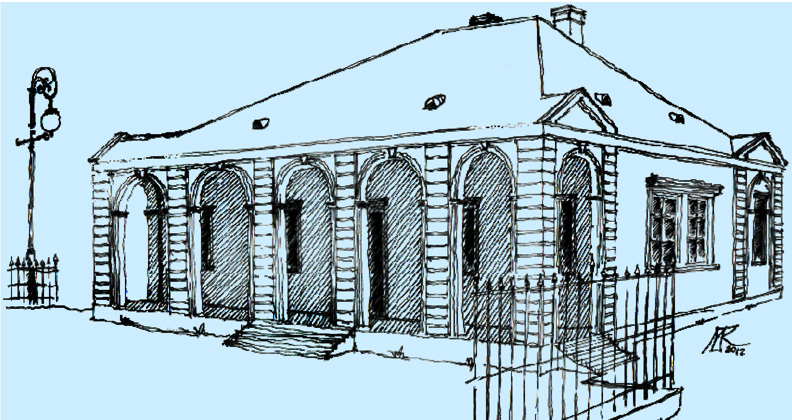
warunkiem jednak, że zgodzą się na rozbiórkę kapliczki i zamianę cmentarza w park. Liderzy wspólnoty od razu zrozumieli, czym to grozi. Parafianie zaczęli dyżurować przy kaplicy, pilnowali, by ktoś jej przypadkiem nie podpalił, czy nie próbował wysadzić w powietrze. Kolejna skuteczna obrona niewielkiej świątyni przyczyniła się do jeszcze większej integracji społeczności i wzmocniła ją moralnie. Czując jej opór, władze dały za wygraną i zgodziły się na przyjazd stałego księdza.

Po wypędzeniu z Gródka w 1958 roku ks. Jana Olszańskiego przez wiele lat tamtejsza parafia była pozbawiona kapłana. Formalnie jej proboszczem był nadal ks. Olszański, ale mógł on z Mańkowiec, gdzie był internowany, za specjalnym zezwoleniem przyjechać do Gródka tylko kilka razy w roku. W miasteczku posługiwali też inni księża, między innymi ks. Bronisław Mirecki pracujący na co dzień w Hałuszczyńcach, a także ks. Antoni Gładysiewicz z Połonnego. Impuls dał ks. Gładysiewicz. W 1969 roku wygłosił on w kaplicy płomienne kazanie, które KGB od razu mogło uznać za wezwanie do buntu. Zarzucił on mieszkańcom Gródka tchórzostwo. Stwierdził, że gdyby zdecydowanie występowali w obronie księdza Olszańskiego, to władze nie odważyłyby się nigdy go wydalić. Wezwał ich do rozpoczęcia starań o zgodę władz na objęcie opieki nad ich wspólnotą przez stałego kapłana. Zagroził, że jeżeli tego nie uczynią, to on i inni kapłani przestaną do Gródka przyjeżdżać. Apel ks. Gładysiewicza poskutkował. Mieszkańcy rozpoczęli mozolne starania o zgodę na osiedlenie się w Gródku stałego kapłana. – Były to bardzo trudne zabiegi – wspomina Stanisław Gumieniuk. – Delegacje naszej wspólnoty dziesiątki razy jeździły do Chmielnickiego, Kijowa i Moskwy, a także do Rygi. Władze wyznaniowe żądały przedstawienia kandydatury kapłana, a kościelne twierdziły, że wcześniej tego nie zrobią aż nie załatwimy „sprawki". W sumie nasi delegaci odwiedzili nie tylko Radę ds. Religii przy rządzie Ukrainy w Kijowie, ale także premiera Rady Ministrów Aleksieja Kosygina, przewodniczącego Rady Najwyższej Nikołaja Podgórnego i członka biura politycznego Polańskiego. Każdy z tych czynowników musiał się zgodzić, by nasza parafia uzyskała stałego proboszcza.

Kapłanem, który przyjechał w 1970 roku, był ks. Franciszek Karasiewicz. W tej chwili jest w Gródku rezydentem. Stan zdrowia nie pozwala mu angażować się już duszpastersko. Mimo że nie był ani więziony, ani zsyłany, KGB mocno dało mu się we znaki. Skutki bestialskiego pobicia przez „nieznanych sprawców" odczuwa po dziś dzień. Stale pozostaje pod opieką lekarza. Bywają dni, że z powodu bardzo wysokiego ciśnienia nie wstaje z łóżka. Unika kontaktów z dziennikarzami i bez polecenia przez zaufaną osobę żaden przedstawiciel świata mediów nie może liczyć na spotkanie z nim. Nie zabiega o ziemską chwałę i nie chce uchodzić za męczennika. Jest skromnym kapłanem, który stara się nie zaprzątać swoją osobą niczyjej uwagi. Urodził się w słynnej Murafie na wschodnim Podolu, będącej po dziś dzień „krynicą wiary i polskości". Swoje powołanie zawdzięcza legendarnemu o. Darzyckiemu, który w latach pięćdziesiątych, po powrocie z kołymskich łagrów, został w niej proboszczem. Był ministrantem. – W 1958 roku, bez wiedzy rodziców, po ukończeniu szkoły średniej udałem się do Rygi, by wstąpić do seminarium. Oczywiście bez zgody władz państwowych było to niemożliwe. Pozostałem jednak w Rydze, bo liczyłem, że w końcu to niezbędne pozwolenie od władz uzyskam. Przez kilka lat pracowałem latem przy zamiataniu ulic, zimą jako palacz. Potem odbyłem trzyletnią służbę wojskową i po niej krótko pracowałem jeszcze jako kierowca autobusu. W 1963 roku mogłem wreszcie legalnie wstąpić do ryskiego seminarium. Po święceniach w 1968 roku pracowałem w łotewskim Dyneburgu. Wierni z Tbilisi prosili mnie, bym został proboszczem w ich kościele, ale biskup odmówił, twierdząc, że państwo nie da na to zgody. Zgodził się jednak, abym udał się do Gródka. Z Dyneburga do stolicy obwodu, czyli do Chmielnickiego, przyleciałem samolotem. Na lotnisko wyszedł po mnie pełnomocnik do spraw religii, który umieścił mnie w hotelu i kazał czekać na niezbędne dokumenty. Był to oczywisty wybieg. Natychmiast zgłosili się do mnie funkcjonariusze KGB, którzy zaczęli mnie „urabiać", bym zgodził się na współpracę z ich instytucją, w przeciwnym razie nie dostanę „sprawki". Kategorycznie odmówiłem. Po trzech dniach pełnomocnik oświadczył mi, że w takim razie dostanę „sprawkę", ale tylko na pół roku. Wtedy zagroziłem, że jeżeli nie dostanę „sprawki" na stałe, to wrócę na Łotwę i tam będę służył ludziom. Pełnomocnik, widząc moją determinację, ostatecznie się zgodził i 14 kwietnia 1970 roku zjawiłem się w Gródku. Pamiętam, że o siódmej wieczorem stanąłem pod kaplicą i w ciągu kilkunastu minut zebrała się jakaś setka ludzi by mnie przywitać. Na pierwszej Mszy Świętej, którą odprawiłem za pół godziny, wokół kapliczki zgromadził się tłum liczący kilkaset osób. Gdy po zakończeniu Mszy wyszedłem przed kaplicę, zobaczyłem stojącą przy bramie płaczącą dziewczynę. Gdy spytałem ją, dlaczego płacze, zamiast się cieszyć, że parafia otrzymała młodego księdza, ona, ocierając łzy, odpowiedziała: „Cieszę się, ale płaczę, bo zdaję sobie sprawę, jak ciężko będzie mu pracować w Gródku". Okazało się, że z wykształcenia była nauczycielką, którą za to, że chodziła do kościoła, zwolniono z pracy i skierowano do wykonywania najgorszej pracy. Dziewczyna ta zapowiedziała, że będzie się za mnie modlić. Szybko okazało się, że modlitwa była mi bardzo potrzebna. Poddano mnie silnej presji, czepiano się praktycznie o wszystko, że dzieci chodzą na nabożeństwa, że dorośli nie przemykają się do kaplicy bocznymi ścieżkami przez cmentarz, ale demonstracyjnie i tłumnie idą do kaplicy przez główną bramę cmentarza, itp. Każdy mój krok był śledzony. Na każdej Mszy Świętej był ktoś z KGB. Wierni byli wzywani na przesłuchania. Gdy na niedzielnej Mszy było dużo dzieci, to w poniedziałek na pierwszej lekcji nauczyciel perfidnie je pytał, które z nich były wczoraj w kościele i ostrzegał, że te, które się nie przyznają, będą miały grzech ciężki. Nazwiska tych, którzy się przyznali, były oczywiście skrzętnie notowane i przekazywane do KGB, co dla ich rodziców miało przykre konsekwencje… Najczęściej byli wyrzucani z pracy i wpisywani na listę wrogów ustroju radzieckiego.

Ksiądz Franciszek nie miał w Gródku łatwego życia. Jak sam przyznaje, zawsze mógł liczyć na wiernych, którzy twardo stali przy swoim duszpasterzu, nie obawiając się żadnych sankcji i represji. Znaleźli się też ludzie, którzy przygarnęli ks. Franciszka pod swój dach. Zamieszkał u państwa Kosteckich. Ksiądz Franciszek mógł też liczyć na pomoc parafian przy wszystkich pracach związanych z kaplicą i cmentarzem. Utwardzenia wymagał plac wokół kaplicy, który po deszczu zamieniał się w grzęzawisko. Sufit kaplicy groził zawaleniem. By wykonać kolejne czynności, trzeba było uzyskać zgodę władz, które ani myślały jej udzielić. Liczyły, że jeżeli tego nie zrobią, to „problem gródeckiej parafii" rozwiąże się sam.

Cdn.



ODWACH*

W jednym z poprzednich numerów Quod Libet napisałem o Rynku w Przemyślu i mogących pojawić się problemach konserwatorskich. Po przeglądnięciu szeregu interesujących albumów wydanych przez Muzeum Ziemi Przemyskiej (ZA CO NALEŻY SIĘ „MU" NAJWYŻSZE UZNANIE – NIE ZAPOMINAJĄC O AUTORACH WSZYSTKICH KSIĄŻECZEK) postanowiłem zrekonstruować Rynek w okresie zaboru austriackiego.

Zatem czas przedstawić:

Michał Tadeusz Kozera

Wykonanie rekonstrukcji generalnie nie jest proste. Szczególnie, gdy jest brak danych podstawowych jak wyniki badań archeologicznych (Andrzej Koperski przeprowadził takowe w 1974 roku, ale nie miałem do nich obecnie dostępu). Zatem do wykonania rekonstrukcji posłużyłem się zdjęciami archiwalnymi z przełomu XIX wieku i XX wieku.

Na początek należało narysować elewacje w skali. Dzięki zachowanym, starym zdjęciom nie było problemów z odtworzeniem elewacji południowej, wschodniej i zachodniej. Szczególnie, że te dwie ostatnie były identyczne. Chociaż zrealizowano je w wersji lustrzanej.

Dodajmy oczywiście, że nie było to do końca takie proste. Wymagało bowiem znajomości zasad architektury z pierwszej połowy XIX wieku. Tu bardzo była przydatna znajomość architektury z tego okresu – a ściślej książek z zakresu historii architektury. Nie wnikając w zbędne szczegóły trzeba stwierdzić, że udało się w końcu tego dokonać.

Te trzy elewacje stały się potem podstawą do zrekonstruowania rzutu parteru. Nie rekonstruowano innych elementów (na przykład rzutu więźby dachowej, dachu czy fundamentów), bo nie przewiduje się rekonstrukcji tego budynku na Rynku w Przemyślu. Tym bardziej, że był on synonimem władzy zaborcy austriackiego. Wybudowano go przecież, aby wskazać mieszkańcom aktualnego „władcę" w Przemyślu.

W rekonstrukcji parteru pomogła również lokalizacja dwóch kominów widocznych na historycznych zdjęciach. Szybko zorientowałem się, że te pojedyncze przewody dymowe musiały obsługiwać piece kaflowe (energii elektrycznej ani gazu nie używano wówczas do ogrzewania – *przyp. M.K.*). Były to jednak kominy z pojedynczym przewodem. Na rysunku rekonstrukcyjnym widać, że każdy komin miał „do obsługi" dwa pomieszczenia. Stąd prosty wniosek, że piec był ustawiony w sposób umożliwiający ogrzewanie obu. Zatem musiał stać w ścianie, w specjalnym otworze. Zatem wydzielał ciepło do dwóch izb.

Dodajmy ciekawostkę. Dzisiaj takie ogrzewanie – dwóch pomieszczeń przez jeden piec – nie jest zgodne z polskim prawem. Wtedy obowiązywały inne przepisy. I do tego niekoniecznie lepsze. Pojedynczy komin mógł spowodować zaczadzenie.

Wiadomo również z historycznej literatury, że drzwi wewnętrzne wówczas lokalizowano w połowie długości ściany każdego z pomieszczeń. W analogicznych miejscach lokalizowano również okna. W ten sposób z dużym prawdopodobieństwem odtworzono wygląd brakującej, czwartej elewacji. Południowej.

Tym sposobem uzyskałem budynek mający cztery pomieszczenia wewnętrzne – z centralnym przejściem (na osi północ-południe) – w układzie symetrycznym wzdłuż tej samej osi. Przy czym od strony północnej wystąpił podcień na całej długości tej elewacji. Przed nim był umieszczony zpoziomowany teren – ze ściętymi narożnikami. Był on otoczony balustradą z elementów kutych, zapewne kowalskiej roboty.

Tak uzyskałem pełną rekonstrukcję całego odwachu. Myślę, że wygląd odwachu – z zewnątrz i od wewnątrz – powinien zainteresować wielu czytelników. A przynajmniej Przemyślaków. Z powodów czysto sentymentalnych.

Nie koniec jednak na tym. Spróbujmy do tego dodać kilka danych historycznych.

Budynek powstał w 1812 roku. Przypomnijmy, że Przemyśl znalazł się pod zaborem austriackim już od 1772 roku. Dane historyczne wskazują, że wcześniej na tym samym miejscu stał polski ratusz – wybudowany w II połowie XVI wieku. Nie znamy jednak jego daty rozbiórki. Zwykle przyjmuje się, że budowa odwachu nastąpiła zaraz po wyburzeniu ratusza. Ale czy to jest prawda? Nie ma żadnych danych na ten temat (a przynajmniej nie znalazłem w dostępnej mi literaturze). Jeżeli fresk z ratuszem – z 1773 roku, z kościoła OO. Franciszkanów – pokazuje jeszcze istniejący obiekt, to rozbiórka musiała nastąpić po 1773 roku a przed 1812 rokiem. Zapewne ratusz za ich czasów mógł znajdować się w tak złym stanie technicznym, że nie nadawał się ani do odbudowy, ani do ewentualnej przebudowy. Wszak znamy przypadki przebudowywania istniejących obiektów i dostosowywania do nowych potrzeb zaborcy. Wymienię chociażby zamek w Niepołomicach czy na Wawelu w Krakowie. I chociaż w tych ostatnich dokonano dużej ilości zmian, to przecież stoją do dzisiaj.

A może ratusz nie spełniał standardów władz austriackich? Może był symbolem polskości w tym mieście?

Wskazane byłyby poszukiwania w archiwach z tego okresu. O ile takowe istnieją.

Odwach to spolszczona nazwa od niemieckiego słowa *Hauptwache*. Przy czym po niemiecku słowo to dokładnie znaczy więcej bo: *Główna Wartownia*. Zapewne polska nazwa była przezwiskiem, ale w końcu przyjęła się jako nazwa własna.

Nie wiem czy gdzieś istnieje szczegółowy opis tego obiektu i jego mieszkańców. Nieznane jest również przeznaczenie poszczególnych pomieszczeń. Możemy tylko spróbować poddać próbnej rekonstrukcji niektóre z nich. Liczymy jednak na pomoc czytelników. Może ktoś posiada więcej informacji na ten temat?

Z chęcią opublikujemy na łamach Quod Libet. Z zachowaniem praw autorskich.

* niem. Hauptwache

<<< >>>

Na pewno we wnętrzu mieścił się pokój straży, czyli żandarmerii. Tu także musiało mieścić się więzienie doraźne, czyli na przysłowiowe „24 godziny". Przy czym zapewne osobne było dla mężczyzn i kobiet. Mogło być także osobne dla żołnierzy i cywili. Chociaż ci ostatni mogli być zamykani w innym miejscu.

Podcień-ganek i plac po jego północnej stronie pełniły najprawdopodobniej rolę miejsca zmiany warty. Tu zapewne także musiał stać maszt do wciągania flagi (austrowęgierskiej), ale tego słupa na zdjęciach nie widać. Może zwyczajnie zaniknął wcześniej albo zdjęcia są niedokładne? A może w wojsku austriackim nie było takiego zwyczaju?

Natomiast z dużym prawdopodobieństwem można podejrzewać istnienie uroczystych zmian warty. Na placu otoczonym metalową balustradą, z kutych prętów. W okresie deszczy zmiany mogły odbywać się w istniejącym podcieniu. Nie można również wykluczyć, że w tym miejscu grała jakaś orkiestra wojskowa. Jednak zdjęcia z tamtych czasów wskazują, że jej popisy odbywały się na zamku – w specjalnie wybudowanej dla nich altanie. Oczywiście grano głównie marsze. Może jakieś walce jednego ze Straussów?

Odwach ten stał do 1908 roku, kiedy został rozebrany. Podaję za Andrzejem Wójcikiem – autorem książki o starych pocztówkach, z około 1900 roku (pełny tytuł: *Spacerkiem po Przemyślu w roku 1900… czyli czar starych widokówek*). Nie wiem skąd uzyskał on tę informację. Przypuszczam, że z „Echa przemyskiego", które wychodziło na początku XX wieku.

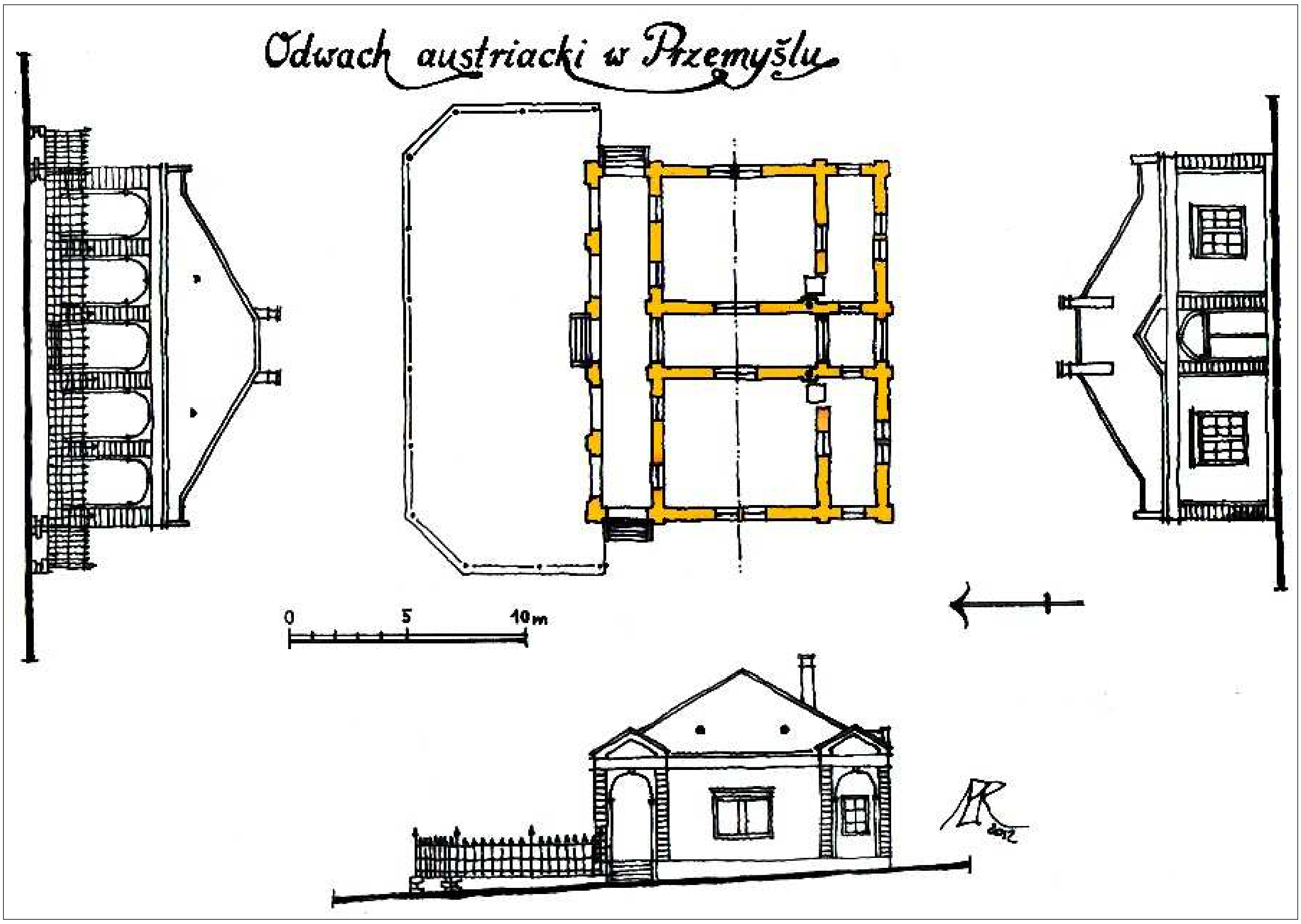
Mnie udało się tylko ustalić, że rozbiórka nastąpiła po 3 maja 1907 roku (istnieje zdjęcie z tą datą, a na nim odwach mocno podparty drewnianą konstrukcją zabezpieczającą przed ewentualnym upadkiem). Rozbiórka na pewno nastąpiła przed 1910 rokiem. Albowiem na innym zdjęciu odwachu już nie ma, a stoi jeszcze najstarsza synagoga przemyska z wystrojem pochodzącym sprzed przebudowy (która miała miejsce w 1910 roku).

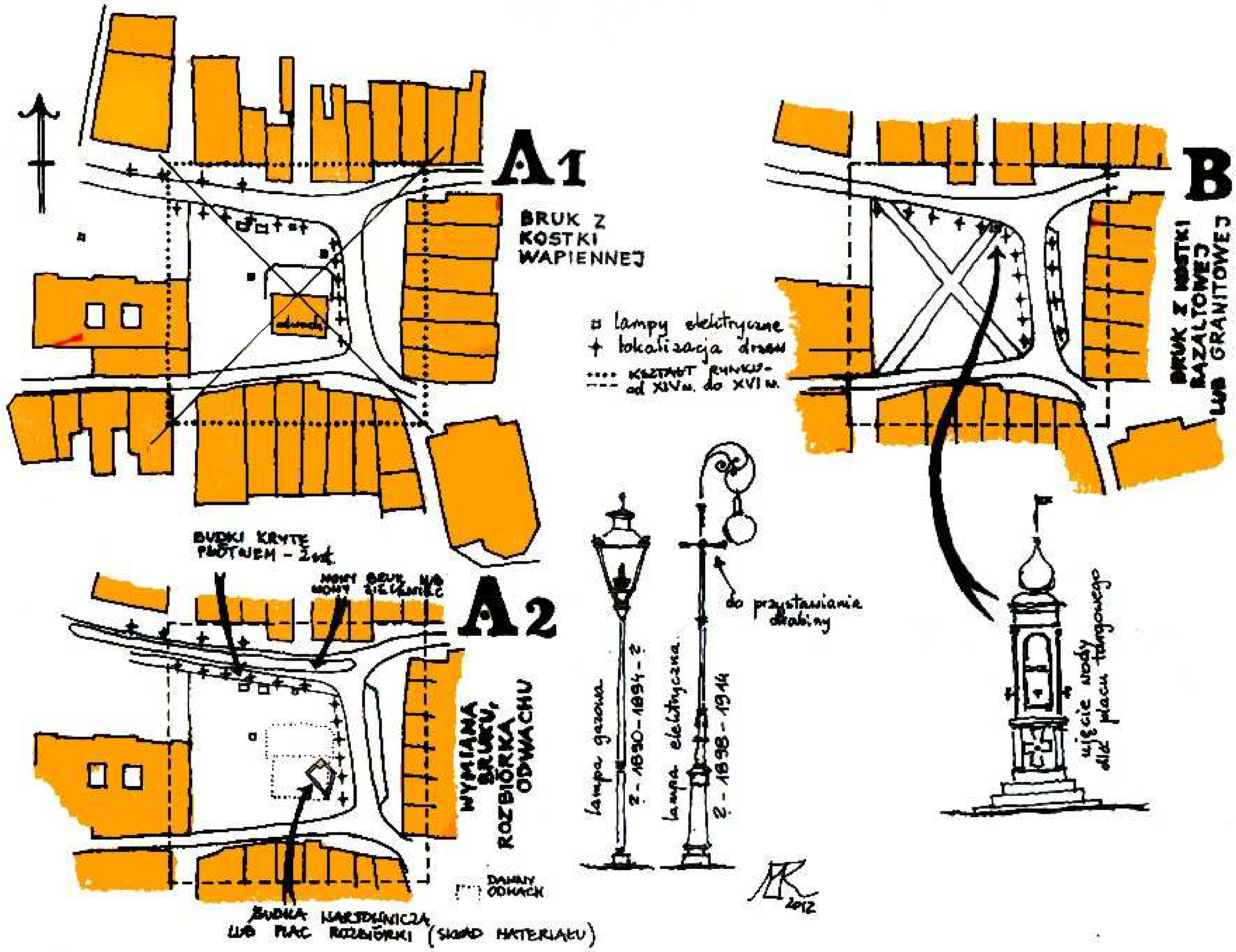
Te – wyżej podane informacje – przedstawiłem na kolejnym rysunku. Powstał on na wyrysie z planu katastralnego miasta – z 1852 roku.

Odwach praktycznie stał w samym środku Rynku (patrz rys. Al. – cienkie linie krzyżujące się w linii elewacji północnej odwachu). Na wschód i na północ od budynku rosły drzewa posadzone gdzieś na początku XX wieku. Stare zdjęcia pokazują także, że powierzchnia Rynku była brukowana. Bruk wykonano z białego, nieregularnego kamienia – najprawdopodobniej wapienia. Ten rodzaj materiału był także stosowany w innych miastach Galicji w tym czasie (w niektórych zachował się nawet do dzisiaj). Wiemy również, że na Rynku stały dwie budki z płóciennymi dachami – przynajmniej na początku XX wieku). Poza tym na Rynku odbywały się zapewne różne imprezy okolicznościowe – szczególnie po uzyskaniu większej autonomii przez Galicję – w 1867 roku. Tu także odbywały się cały czas targi handlowe.

Przy okazji kataster został wykorzystany do pokazania wielkości Rynku w okresie po lokacji – czyli z 1389 roku (z czasów Władysława Jagiełły, a nie Kazimierza Wielkiego jak wcześniej pisałem – za co czytelników przepraszam). Na rysunkach zastosowano kropki (patrz rys. nr A1) i kreski przerywane (rys.A2 i B). Pozwoli to dodatkowo uzmysłowić sobie zmiany zachodzące jeszcze w czasach istnienia tutaj ratusza.

Jak już wspomniałem wcześniej – odwach przetrwał do około 1908 roku. Jest bowiem takie zdjęcie – zrobione z wieży dzwonnicy przykatedralnej – gdzie ratusza już nie ma (patrz rys. A2 – rodzaj dekoracji starej synagogi wskazuje, że wykonano je przed 1910 rokiem). W miejscu odwachu widać niewielką budkę wartowniczą i fragment terenu otoczonego parkanem. Albo jest to wydzielony teren dla składowania materiałów z rozbieranego odwachu albo jest to przejściowa budka wartownicza – z przyległościami. Do czasu zajęcia nowego obiektu, który został już wyznaczony w 1903 roku przez władze austriackie, bodajże przy ulicy Katedralnej





(zatem tempo pracy podobne jak w niektórych urzędach nam współczesnych!!). Dodać jeszcze należy, że na omawianym zdjęciu widać ciemniejszą plamę – wzdłuż północnej pierzei Rynku. Albo wykonywano już nową nawierzchnię tej części Rynku albo wykonano pas zieleni ozdobnej. Niestety. Zdjęcie jest nieostre i trudno jednoznacznie stwierdzić. Może ktoś coś wie więcej na ten temat?

Tu należy także wspomnieć o elemencie małej architektury, jakim są lampy. One także mogłyby datować stare zdjęcia. Dwa, podstawowe typy lamp pokazano na rysunku koło części A2.

Z mojej analizy zdjęć wynikło, że najpierw były lampy gazowe wykonane najprawdopodobniej z żeliwa. Były niedużej wysokości. Zapalanie odbywało się specjalnym kijem z knotem. Podobne „urządzenia” są jeszcze dzisiaj używane w niektórych kościołach rzymsko-katolickich. Tyle tylko, że do zapalania świec. Lampy te istniały już w 1890 roku i istniały co najmniej do 1894 roku. Nie wiem, kiedy zamontowano pierwsze, ani kiedy przestały funkcjonować. Chociaż są także zdjęcia, gdzie te stare lampy istnieją jeszcze obok nowszych, nowocześniejszych. Zapewne z sentymentu do przeszłości. A może z oszczędności?

Po nich pojawiają się lampy elektryczne. Są one dużo wyższe i mają piękny, secesyjny kształt. Większa wysokość zapewne wynikła z ich większej mocy. Mogły dzięki temu oświetlać większy teren wokół nich. To one posiadają dodatkowo poziomą belkę. Bo to do niej przystawiano drabinę, aby wyjść na górę i zapalić tę lampę. Nie było jeszcze systemów automatycznego włączania światła o zmroku – jak mamy teraz. Dlatego też powstał nowy zawód: zapalacza lamp. Wymagał przede wszystkim kondycji. Drabina miała gdzieś około 3 metry długości. Te lampy są już w Przemyślu w 1898 roku i przetrwały przynajmniej do I wojny światowej. W okresie międzywojennym mamy już inne lampy i słupy z całą masą izolatorów i licznymi kablami. Te ostatnie nie dodawały miastu uroku w okresie międzywojennym, a nawet po II wojnie światowej.

Po napisaniu tego tekstu znalazłem interesującą informację w książce Jacka Błońskiego. Podał on, że elektrownia w Przemyślu powstała w 1895 roku. Zatem lampy gazowe działały do tej daty, a elektryczne po tej dacie. To bezcenna informacje, bo pozwala zawęzić czas powstania niektórych zdjąć historycznych. Pięknie dziękuję. A może ktoś wie, kiedy powstało oświetlenie gazowe?

Stare zdjęcia pokazują jeszcze jedną ważną informację. Po rozebraniu odwachu (około 1908 roku – podaję za Andrzejem Wójcikiem) wymieniono nawierzchnię na Rynku. Tym razem zastosowano kostkę granitową i bazaltową. W centralnej części placu ułożono ją we wzór krzyża (patrz rys. B). Ta nawierzchnia zachowała się dość długo. Ja ją jeszcze pamiętam z lat siedemdziesiątych XX wieku.

Poza tym przebudowa Rynku przyniosła jeszcze jeden element architektoniczny. Podczas przebudowy nawierzchni (około 1910 roku) zamontowano ujęcie wody. Miało ono zapewnić osobom handlującym dostęp do bieżącej wody. Zapewniało także poprawę warunków sanitarnych na Rynku. Pokazałem je na rysunku B. Miało ono około 3 metry wysokości i było wykonane w duchu eklektyzmu. „Zniknęło” po II wojnie światowej – wraz z upadkiem handlu na Rynku. A raczej z zakazem jego wykonywania w tym miejscu. Takie to były dziwne czasy. Tym sposobem Rynek stracił swoją pierwotną funkcję na długie lata.

CZY ZYSKAŁ INNĄ?

Kraków, luty 2012 roku

EPOKA ŻELAZA W EUROPIE

Michał Tadeusz K o z e r a

Człowiek pojawił się na ziemi już jakiś czas temu. Dość odległy. Jego najstarsze dzieje poznajemy zwykle dzięki badaniom archeologicznym i naukom z nią związanym. Ale zwykle każdy, kolejny rok badawczy wnosi nowe informacje, które czasami zmieniają dotychczasowe sądy na różne tematy. Pojawiają się również nowe techniki badawcze pozwalające od nowa odczytać niektóre stare dane czy historie przedmiotów. Podobnie jak w kryminalistyce. Bywają także informacje, które niechętnie są przyjmowane przez naukowców. Są zbyt radykalne? Wnoszą wiedzę niechętnie widzianą przez polityków? Oto taka klasyczna dziedzina – EPOKA ŻELAZA W EUROPIE – część I:

ZŁEGO POCZĄTKI

Przy pierwszym czytaniu tekst może niektórym wydać się trudny. Dlatego sugerowałbym jego czytanie i równoczesne spoglądanie na załączone mapy. A to Europy, a to Azji. Powinno to uczytelnić i ułatwić zrozumienie materiału pisanego. Tym bardziej, że mapy pochodzą z podręcznika dawnej szkoły podstawowej, a obecnie podobne są na pewno w podręcznikach gimnazjalnych. Zatem życzę przyjemnej lektury.

Zanim pojawiło się żelazo jako materiał do produkcji narzędzi czy broni, stosowano dwa inne materiały. Pierwszym był kamień, a drugim miedź. W przyszłości może pojawić się kolejny, nowy materiał. Już dzisiaj można podejrzewać, że będzie nim plastik. Taki zwykły, łamliwy oraz taki o wytrzymałości większej od żelaza. I to nawet kilkakrotnie.

Póki co nie zapominajmy jednak, że 45% objętości ziemi stanowi właśnie żelazo. Zatem powinno nam go jeszcze starczyć „na jakiś czas".

Z dotychczasowych badań wynika, że na świecie człowiek zaczął wykorzystywać żelazo około 4000 lat przed naszą erą. Przy czym - aby było zabawniej - pozyskiwał najpierw żelazo z meteorytów. Zatem materiału przybyłego z zewnątrz, z kosmosu. W formie mniejszych lub większych brył. Było wówczas warte więcej od złota. I spadało w czystej postaci. Nie wymagało wytworzenia. Tylko przekucia przez kowala na konkretny przedmiot.

Około 3000 lat przed naszą erą (w skrócie: p.n.e.) odkryto w końcu, że mamy na ziemi własne zasoby tego materiału. Przy czym najpierw pozyskiwano go z rud powierzchniowych, a potem wykopywano go spod ziemi. Kowale już byli. Mogli je zatem przetworzyć na dowolne przedmioty. Nawet ozdoby dla kobiet.

W Europie żelazo pojawiło się jednak dopiero około 1000 lat p.n.e. (czyli 3 tysiące lat od czasów nam współczesnych – dla przypomnienia). Przynajmniej takie dane przedstawili nam archeolodzy.

Jako pierwsza wykorzystała żelazo grupa ludzi, która osiedliła się na terenie obecnych północnych Włoch, w dolinie rzeki Pad (tak zwana *archeologiczna kultura villanova – patrz rys. nr 1, teren oznaczony A*).

Nie wiemy jednak nadal skąd przybyła. Archeolodzy sugerują, że miała ona powiązanie z Hetytami, którzy zamieszkiwali nad rzeką Kyzył Imak, w Azji Mniejszej. Ci jednak zostali „usunięci" z dziejów już około 1200 lat p.n.e.. Zapewne przez Frygów lub Traków – z rejonu obecnej Grecji (pierwsi) lub z delty rzeki Dunaj (co drudzy). Zatem na dość długo przed pojawieniem się „kowali" w Europie. (gdyby tę hipotezę potwierdzili archeolodzy, to pierwsze centrum obróbki żelaza byłoby w Europie, gdzieś nad dolnym Dunajem lub w okolicy).

Zatem należy poszukać innych „dostawców" żelaza. Dla mieszkańców północnych Włoch najlepsi byliby Egipcjanie. Stosowali oni żelazo od końca Nowego Państwa (tak nazywa się jeden z okresów dynastycznych w Egipcie – przyp. M.K.) – czyli od około 1450 roku p.n.e. I stosowali go nieprzerwanie przez bardzo długi okres czasu. Co najmniej do pierwszych wieków naszej ery.

Musieli oni dotrzeć do północnych Włoch drogą morską lub wzdłuż wybrzeża Azji Mniejszej (być może z pośrednim pobytem w osławionej Troi? – sugestia M.K.) i wybrzeży Morza Adriatyckiego.

Może korzystali z pomocy pośredników?

Nie zapominajmy, że w tym czasie wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego były rozlokowane liczne miasta-kolonie. Zostały one stworzone przez dwie potęgi morskie: Greków i Fenicjan. Żyły głównie z handlu prowadzonego drogą morską.

Czy aby dwie potęgi? Tu ciekawostka. Specjaliści, którzy odszyfrowali jedno z najstarszych pism greckich, wskazują na jego semickie pochodzenie.

Zatem pierwszeństwo w handlu morskim należałoby przypisać Fenicjanom (a może było to kodowane pismo fenickie przy użyciu alfabetu greckiego? – uwaga moja).

Ludzie z *kultury archeologicznej villanova* nie cieszyli się jednak z posiadania technologii produkcji żelaza zbyt długo. Na przełomie VI i V wieku p.n.e. zawojowali ich sąsiedzi – Etruskowie (archeolodzy potwierdzają ich istnienie od VIII wieku p.n.e.). Nie wiadomo tylko skąd przybyli i gdzie potem odeszli. Tak twierdzi część archeologów.

Dodajmy do tego ciekawostkę. Etruskowie chowali prochy swoich zmarłych w urnach z podobizną ludzkiej twarzy. A przynajmniej jej uproszczonym wyglądem. Może zatem taki kształt urny pochodzi z Egiptu? Tyle tylko, że tam były chowane mumie w formie szkieletów. Miały jednak także ludzkie twarze na trumnach. A może…

Musimy niestety poczekać na dalsze odkrycia archeologów.

Nie były to jednak jedyne centra produkcji żelaza. Odkrycie bogatych złóż żelaza pod ziemią, po północnej stronie Alp (zapewne dzięki wcześniejszym poszukiwaniom soli kamiennej tamże – przyp. M.K.) przyniosły stworzenie kolejnego, dużego centrum eksploatacji tego surowca. Rozciągało się ono wzdłuż rzeki Dunaj – praktycznie prawie od źródeł aż do ujścia do Morza Czarnego. Przy czym archeolodzy podzielili go na dwa segmenty: zachodni i wschodni. Umowna granica obu przebiegała w sąsiedztwie dzisiejszego Wiednia.

Nie był to przypadek. Granicę obu rejonów tworzył szlak komunikacyjny, handlowy. Biegł on z południa na północ (lub odwrotnie, – jak kto woli). Jest to tak zwany „szlak bursztynowy" – znany jeszcze z czasów wykorzystywania kamienia jako podstawowego narzędzia przez ludzi. Przy czym bursztyn pochodził z terenów nad Morzem Śródziemnym, między ujściem rzeki Wisły, a ujściem rzeki Dźwiny. Obejmuje zatem również część terenów dzisiejszej Polski, a dokładniej obszar północno-wschodni (między innymi Mazury).

O istnieniu tego szlaku świadczą chociażby znaleziska tej kamiennej żywicy w grobowcach położonych na terenie Grecji – z tak zwanej archeologicznej kultury mykeńskiej. Z kolei nad Morzem Bałtyckim znajdowano w grobowcach muszle kauri, które występują tylko nad Morzem Czerwonym i w Zatoce Perskiej. Zatem mogły przywędrować najprawdopodobniej z Egiptu za pośrednictwem jednej z kolonii greckich. Nie zapominajmy, że znajdowane naczynia gliniane posiadają wzory typowe dla kultur greckich (chociażby meander).

Szlak ten biegł zatem od Egiptu, potem wzdłuż wybrzeży Azji Mniejszej, Grecji, dalej brzegiem Morza Adriatyckiego do jakiegoś portu nad Morzem Adriatyckim. Potem lądem, przełęczą i dolinami pomiędzy Alpami a Górami Dynarskimi (wzdłuż rzeki Drawy), rzeką Dunajem i jej dopływem Morawą, następnie Bramą Morawską, górnym odcinkiem rzeki Odry, rzeką Prosną (z osławionym później – przez jednego z geografów z II wieku n.e. – miastem Kaliszem, chociaż będącym pierwotnie miastem celtyckim), rzeką Notecią, dolną Wisłą aż do Morza Bałtyckiego. Szlak ten mógł mieć także dalszą kontynuację poprzez powiązanie z ludami germańskimi, które zasiedlały Półwysep Skandynawski. A może także z ludami fińskimi – z nad Zatoki Fińskiej czy Botnickiej.

Natomiast nowe złoża żelaza stworzyły – lub znacznie rozwinęły – drugi szlak komunikacyjny, handlowy. Biegł on mniej więcej prostopadle do pierwszego, ze wschodu na zachód (lub odwrotnie – jak kto woli) i prowadził wzdłuż rzeki Łaby (dawniej nazywanej z łaciny *alba* – czyli Biała – przyp. M.K.) i częściowo wzdłuż rzeki Dunaj. Na zachodnim końcu były kopalnie znajdujące się na północnych stokach Alp, a na drugim kopalnie na terenie obecnego Siedmiogrodu (obecnie Węgry, na zachód od Karpat).

To nowe osadnictwo nazwano celtyckim, a osadników Celtami. W następnych czasach nazwa zmieniła się na Galów (za sprawą Rzymian, którzy ich zaatakowali – o tym jednak będzie dużo dalej – przy opisie Cesarstwa Rzymskiego)

Przy czym zachodnia część tego szlaku została zasiedlona przez Celtów około IX-VIII wieku p.n.e., a wschodnia od około VIII do IV wieku p.n.e.

Rozwój tego ostatniego szlaku zapewne wiązał się z handlem z ludami zamieszkującymi wybrzeża Morza Czarnego. Tu występowały liczne miasta-kolonie greckie.

Szlak ten mógł mieć powiązanie z terenami zasiedlanymi wcześniej przez Hetytów. Wszak tam także od dawna pozyskiwano żelazo. Dużo wcześniej niż w Europie. Od co najmniej 2000 lat p.n.e.

Wspomnijmy również jedną z najnowszych informacji uzyskanych przez archeologów. Odnaleźli oni dwa miejsca występowania grobów z urnami twarzowymi oraz z urnami w formie domków mieszkalnych. Takimi samymi lub podobnymi jak u Etrusków. Wystąpiły one w dorzeczu rzeki Solawy i rzeki Łaby oraz przy ujściu rzeki Wisły do Morza Bałtyckiego.

To nasunęło specjalistom proste skojarzenie. „Zaginione" plemię Etrusków powędrowało na północ (urny są młodsze od tych znalezionych w Etrurii – przypomnienie M.K.) w dwa miejsca. Jedna grupa doszła do Morza Bałtyckiego, koło Wisły

(rys. nr 1, teren oznaczony B.) – moim zdaniem aby kontynuować handel bursztynem z miejscową ludnością, bez zbędnych pośredników. Druga grupa zrobiła podobnie osiedlając się nad Łabą(rys. nr 1, teren oznaczony C). Tyle tylko, że tym razem – moim zdaniem – zapewne chodziło o bezpośredni handel z Germanami (najkrótsze połączenie z Półwyspem Skandynawskim za pośrednictwem Półwyspu Jutlandzkiego).

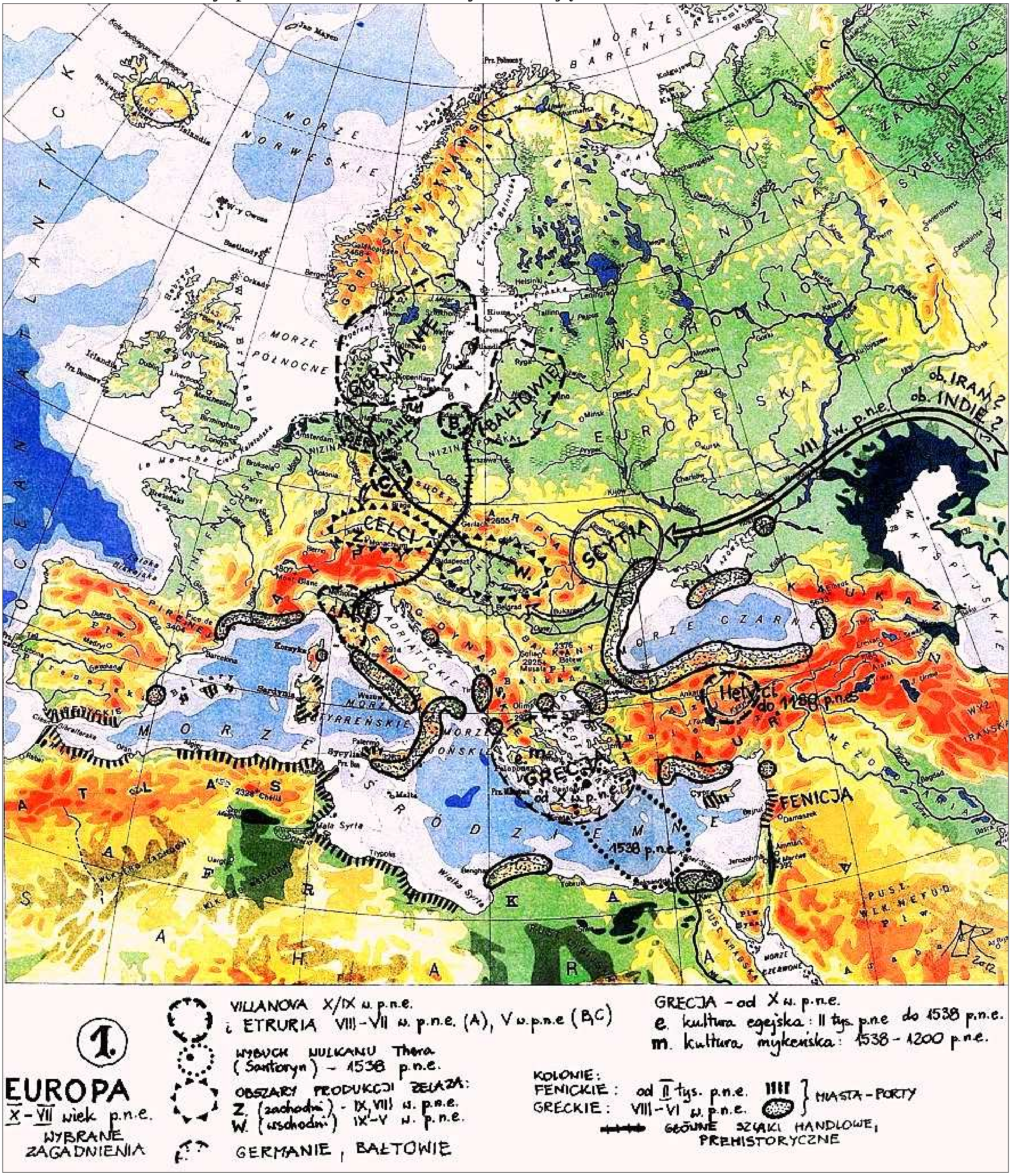
Ten układ nie trwał jednak zbyt długo (jeżeli czas potraktujemy w kategorii rozległych dziejów istnienia człowieka – moje). Część wschodnia tak zwanej archeologicznej kultury halsztackiej (czyli żelaza) została zaatakowana przez Scytów. Przywędrowali oni z Azji do Europy około VII wieku p.n.e. i pozostali tam do początków naszej ery.

Naukowcy uważają, że ich pierwotne siedziby musiały się mieścić w rejonie dzisiejszego Iranu i Indii. Stąd są nazywani ludem indoirańskim (albo indoeuropejskim).

PS. Słowian jeszcze nie było w Europie, wbrew twierdzeniom niektórych badaczy. A w kolejnej części: coś o Scytach i o „kontr działaniach” Celtów.

Kraków, styczeń 2012 roku

cdn.



Emil Palej

NOTATKI Z MEGO ŻYCIA

cd

Wiosną 1943 roku następuje pierwsza wsypa. Jan Dziuba, dowódca drużyny Jaworów-Przedmieście, pracownik telekomunikacyjny na poczcie w Jaworowie, był z czterema innymi pracownikami we wsi Rogożno przy zakładaniu nowych słupów i drutów telefonicznych. W pięciu wracali po pracy do Jaworowa, 8 kilometrów. Dziuba nie zauważył, że za nimi idzie dwóch policjantów ukraińskich. W żarcie kichnął parę razy i to dość głośno. Policjanci przystąpili do nich pytając, kto tak kichnął i komu śmierdzi mundur policji. Dziuba odpowiedział, że to on dla żartu kichnął. Wtedy policjanci kazali mu dać ręce do tyłu i trzy kroki maszerować naprzód. Po zaprowadzeniu całej piątki na posterunek w Rogożnie trzech Ukraińców z miejsca zwolniono, zaś u obydwóch Polaków przeprowadzono bardzo szczegółową rewizję. Jan Dziuba miał przy sobie rotę ślubowania, jakoś niezręcznie wyciągnął, by ją połknąć, co zauważył policjant ukraiński, wyrwał mu ją i przeczytał. Obydwu Polaków trzymano całą noc na posterunku, zaś rano zabrano do Jaworowa do Komendy Powiatowej policji niemieckiej. Po dwóch dniach Polaka starszego wiekiem wypuszczono, zaś Dziubę dalej trzymano w areszcie. Przez dwa dni nie dano mu ani kromeczki chleba, ani też wody do picia. Po aresztowaniu Dziuby ogarnął nas wielki strach. Myśleliśmy, że wsypa na całego, co pociągnie za sobą zatrzymanie więcej osób. Natychmiast wysłałem kurierkę z meldunkiem o tym wypadku. Wydano mi rozkaz, by być przygotowanym na wszystko, zachować czujność i ostrożność. Na usilne starania Krasickiego, za pośrednictwem Edwarda Szpilki – właściciela drukarni , który żył w dobrej komitywie z komendantem powiatowym – Austriakiem (często popijali), zezwolono jego żonie podać Dziubie żywność i bieliznę. Żonę Dziuby proszono, by mu powiedziała, aby się nie przyznawał do niczego, pomimo nawet tortur, bo zdradzi innych, też swego brata, który też jest w konspiracji. W pierwszych słowach zamienionych z żoną powiedział: „Przekaż Stawidle (dowódca jego plutonu), niech się nie boją, niech będą pewni, że nie wydam nikogo, choćbym nawet miał zginąć. Już mnie nie biją, nie przyznaję się do niczego. Mówię, że kartkę tę znalazłem na drodze i nie rozumiem, co ona znaczy.” Krasicki wszelkimi siłami starał się pomóc rodzinie Dziuby. Zebraliśmy spośród siebie fundusze, które jako pomoc z Polskiego Komitetu Opiekuńczego wręczył żonie Dziuby sam Krasicki. Po tygodniu otrzymałem ze Lwowa płyn chemiczny i piłeczkę do przepiłowania krat, ażeby podać Dziubie w jakiś sposób. W żadnym wypadku nie wolno go odbić siłą, bo może się nie udać, co przyniosłoby straszne skutki. Po naradzie z moim sztabem postanowiliśmy pilnie śledzić przewożenie Dziuby na gestapo do Lwowa. Trzeba go za wszelką cenę odbić. O wypuszczeniu go przez Niemców na wolność nie było mowy. O to, że nie zdradzi, byliśmy spokojni, ponieważ zapewniał o tym swoją żonę, która dwa – trzy razy w tygodniu odwiedzała go. Edward Szpilka niejednokrotnie poruszał sprawę Dziuby w rozmowach z komendantem powiatowym, że ten człowiek jest niewinny i Powiatowa Komenda Policji powinna go wypuścić. Austriak oznajmił mu, że na razie nie ma mowy, ponieważ Ukraińcy, a zwłaszcza policja ukraińska twierdzi, że na terenie Jaworowa jest organizacja konspiracyjna. Edward Szpilka, nasz członek i serdeczny kolega Krasickiego, wpadł na pomysł, aby kupić świnię, zabić i dać komendantowi policji jako prezent. Tak się też i stało. Zaznaczam, że w tym czasie Niemcy w Jaworowie sami cichaczem kupowali słoninę, masło i inne artykuły żywnościowe, odsyłając pocztą do swych rodzin. Dziuba przez trzy miesiące siedział w areszcie powiatowym, z czego byliśmy zadowoleni i przestaliśmy się obawiać. Otrzymany płyn i piłeczka nie zdały egzaminu, a my czekaliśmy na zwolnienie Dziuby lub odbicie go w czasie transportu. W miesiącu czerwcu lub lipcu, w nocy zostaje Dziuba wywieziony do Lwowa przez gestapo. Jak się dowiedziałem, do Jaworowa przyjechało gestapo ze Lwowa na kontrolę i po tej kontroli w nocy zabrano Dziubę. Po zabraniu go do Lwowa jego żona już się z nim nie widziała.

Latem tego roku Niemcy likwidują getto. Wywożą w las ludność żydowską i tam ją mordują, zaś całe getto palą. W czasie wywożenia Żydów z getta w całym mieście powstał wielki strach. Polacy nie wychodzili z domów, płakali, podobnie jak niektórzy Ukraińcy nie nacjonaliści. Widziałem na własne oczy przez okno z domu, jak szosą w kierunku Krakowca wywieźli Niemcy samochodami biednych i nieszczęśliwych ludzi, wynędzniałych i głodnych. Biedne dzieci i starsi machali rękami przed każdym polskim domem. Moi synowie zaczęli płakać, a starszy 12-letni syn Eugeniusz woła: „Ornek!”, kiwa rękami, jego matka też: „Już mu nie podam chleba, kartofli”. Orn chodził z Eugeniuszem do jednej klasy – kolega szkolny. Sam się rozpłakałem, zacząłem głośno bluźnić, że Boga nie ma, bo jakby był, to by do tego nie dopuścił itp. Ludność polska była zrozpaczona, obawiając się, że i nas to samo spotka. Tego dnia wieczorem poszedłem do Krasickiego. Był bardzo podenerwowany. Krasicka leżała w łóżku – z tego zdenerwowania zachorowała. Zamieniliśmy parę słów na ten temat i wróciłem do domu zupełnie załamany. Na drugi dzień do pracy nie poszedłem, ponieważ chciałem coś

się dowiedzieć więcej i wysłać kurierkę z meldunkiem o likwidacji getta. Niemcy spędzili ludność na pogorzelisko getta w celu robienia porządku. W tym czasie odbywała się odprawa we Lwowie, gdzie podano nam do wiadomości, że bandy ukraińskie coraz więcej mordują Polaków na terenie Wołynia, woj. tarnopolskiego i stanisławowskiego. Należy być dobrze przygotowanym do samoobrony. Broni jeszcze ciągle brakuje. Ku ogólnej radości dowiedzieliśmy się, że w Związku Radzieckim tworzy się duża armia polska pod dowództwem generałów i oficerów polskich. To nam dodało otuchy i nadziei. Latem, jednej niedzieli po południu, byłem u lekarza weterynarii Fedorowskiego, gdzie graliśmy w bridża. W tym czasie dały się słyszeć dalekie wybuchy. Wyszliśmy na ulicę, skąd dokładnie było widać, jak kilkanaście bombowców pikowało nad lasem janowskim i zrzucało bomby. Ogromne lasy janowskie – Wereszyca, Starzyska, ciągną się kilkanaście kilometrów aż po Żółkiew. Od Jaworowa do lasów janowskich w prostej linii około 15 km. Jak się później okazało, to Niemcy wykryli w tych lasach bardzo silną partyzancką grupę sowiecką Kowpaka. W tym dniu Niemcy bombardowali ten las ze dwie godziny. To nam dodało otuchy. Od tego czasu szosą Jaworów – Lwów transporty niemieckie jeździły tylko w dzień. Nocą w ogóle nie puszczano żadnych transportów. Ludność wiosek przylegających do tych lasów głośno mówiła, że w lasach jest wojsko sowieckie, przychodzą nawet czasami do wsi, rozmawiają z ludnością, są bardzo uprzejmi, nic nie chcą i nic nie biorą. Bydła, które pasie się pod lasem, nie zabierają. Niemcy, oprócz kilkakrotnych bombardowań, nie zapuszczali się w las ani też nie używali swojej artylerii. O tym powiadomiono nas na jednej z odpraw. Tej samej jesieni 1943 r., w miesiącu październiku, przyszedł do mnie Stanisław Krasicki. Od razu zauważyłem, że jest bardzo zdenerwowany. Zapytał mnie, czy jest jeszcze ktoś w domu. Odpowiedziałem, że żona moja i synowie poszli do brata żony. Krasicki usiadł i cichym, drżącym głosem powiedział: „Emilu, stało się wielkie nieszczęście. Janka zamordowali Niemcy. Mój syn już nie żyje"[1]. W pierwszej chwili starałem się go uspokoić, że to może nieprawda, lecz Krasicki odpowiedział mi, że otrzymał przed godziną list od rodziny z Warszawy i co ma teraz z tym zrobić. Zapytałem go, czy żona jego już wie o tym. Odpowiedział, że jeszcze nie wie. Powiedziałem mu, ażeby na razie trzymał to w tajemnicy, ponieważ żona jego choruje na serce i wiadomość o zamordowaniu Janka może ją w jednej chwili pozbawić życia. Krasicki powiedział, że może się tak stać, że ona bardzo kochała Janka, że to jej najmilszy syn. Po tej rozmowie odprowadziłem go do domu. Tam bardzo mało rozmawialiśmy, ponieważ myśleliśmy tylko o tym morderstwie. Po pożegnaniu się Krasicki prosił mnie, abym zachował to w tajemnicy. Od tego czasu Krasicki stał się bardzo ponury, lecz pracy konspiracyjnej poświęcał się jeszcze więcej. Do czasu wyjazdu Krasickiego z Jaworowa do Warszawy jego żona nie wiedziała o zamordowaniu syna.

W miesiącu wrześniu lub październiku 1943 r. wezwał mnie telefonicznie z Ożomli do Jaworowa w sprawach służbowych lekarz Fedorowski. Po otrzymaniu wezwania natychmiast udałem się rowerem do lecznicy weterynaryjnej w Jaworowie. Zastałem tam lekarza Fedorowskiego, który kazał mi iść do niego do domu, a on zaraz też przyjdzie i da mi lekarstwa otrzymane ze Lwowa. Pół godziny później byłem już u Fedorowskiego, który oświadczył mi, że Dziuba jest na wolności, ale jest ranny i właśnie dzisiaj rano był u niego, by go opatrzyć. Na razie mu nic nie grozi, jest tylko pokaleczony. Dziuba jechał, z kilkoma jeszcze więźniami, ze Lwowa do obozu pociągiem, w zamkniętym wagonie towarowym. Przez drogę wydłubali dziurę w podłodze i wszyscy w nocy pojedynczo pouciekali. Dziuba ma pokaleczone kolana, głowę i ręce. Jest dobrze ukryty u jednego Polaka (członka jego drużyny). Ze względu na to, żeby go nie zdradzić, sam Fedorowski będzie robił mu opatrunki, niby dojeżdżając do chorej krowy. Porozmawialiśmy o tym dość szczegółowo, powiedziałem, że trzeba mu dać jakąś pomoc. Żona Jana Dziuby, bardzo odważna i mądra kobieta, powiedziała lekarzowi Fedorowskiemu, że jak tylko mąż się podleczy, to odwiezie go do swoich krewnych (rolników) koło Rzeszowa i tam on będzie bezpieczny. I tak się stało. Po trzech tygodniach Dziuba w nocy uciekł z żoną do rodziny i tam pozostał. Policja ukraińska i niemiecka kilkakrotnie szukały Dziuby, ale nikt nic nie wiedział o nim. Ten dzień był dla mnie szczęśliwy. Otrzymałem meldunek od Romana Tworzydło, dowódcy II plutonu z Krakowca, że Marek, nowo przybyły partyzant z Pyszówki, oddaje dwa ckm i około 5000 sztuk amunicji nataśmowej, schowane jeszcze od 1939 r., a pozostawione prze kawalerię polską; oddaje też 11 sztuk kbk mauser i 500 sztuk amunicji. Ponieważ wieś – czysto polska, sami koloniści z Krakowskiego, licząca około 40 gospodarstw rolnych – znajdowała się pod lasem, otoczona ukraińskimi wioskami: Prudno, Rogożno, Gnojnice, zaproponowałem dowódcy plutonu, pseudonim „Wulkan", ażeby tę broń w całości pozostawił w Pyszówce.

Ciągle dochodziły wieści o mordowaniu Polaków na kresach wschodnich, więc staraliśmy się przygotować jak najlepszą samoobronę. W tym czasie Niemcy ponosili klęski na Wschodzie, pod Stalingradem. Na jednej z odpraw w Gródku Jagiellońskim podano nam do wiadomości, że w wielkiej bitwie pod Lenino bierze udział u boku Armii Radzieckiej Wojsko Polskie. Na Zachodzie alianci biją Niemców ze wszystkich stron. Zwycięstwo nad Niemcami jest pewne, i to w krótkim czasie. Trzeba przygotować się do samoobrony i dywersji. To nas podniosło na duchu, że hitlerowskie Niemcy zostaną rozbite, a my otrzymamy z powrotem utraconą Polskę.

Cdn.

[1] Janek Krasicki (1919-1943) działacz komunistyczny.

MISCELLANEA ab imo pectore

Zenon Rogala

SKARB

- „Das Buch ist wie ein Garten,
`Gewissent` in der Tasche.
Liebe Wörter und Karten.
Das Buch ist wie ein Garten…"

Mówiłem powoli te niemieckie słowa, bo zdarzyła się niespodziewana okazja. Staliśmy w piwnicy budynku socjalnego, który znajdował się obok gmachu uczelni. Pod dowództwem pana Wiesia – brygadzisty wszystkich uczelnianych konserwatorów, rozpoczynało się poszukiwanie skarbów.

Niemiec wpatrywał się we mnie przez swoje złote okulary, w których odbijały się światła lamp rozstawionych w różnych miejscach piwnicy i światła latarek w rękach pracowników. Zza błyszczących szkieł patrzyły na mnie rozszerzone z podziwu oczy. Był wyraźnie zaskoczony takim powitaniem w jego ojczystym języku.

- Kiedy wiele lat temu - zacząłem powoli - uczęszczałem codziennie do tego stojącego obok budynku, mieściło się tam wtedy Liceum Pedagogiczne. Była to wspaniale wyposażona szkoła, znakomicie spełniająca wymogi obiektu dydaktycznego. Poza zajęciami w świetnie wyposażonej sali gimnastycznej, naukę z fizyki, chemii, przyrody, pobieraliśmy w pełnych pomocy naukowych pracowniach. Dla mnie, żądnego wiedzy o świecie, była to prawdziwa świątynia nauki – patrzyłem w jego oczy, świadomy niezwykłości powodu tego spotkania. W tym, co mówiłem, nie była tylko autopromocja, raczej pochwała poziomu wyposażenia szkoły odzyskanej po wojnie.

- Tutaj też rozpocząłem naukę języka niemieckiego, a ten przepiękny triolet Remigiusza Kwiatkowskiego osobiście przetłumaczyłem z polskiego na niemiecki będąc w drugiej klasie liceum.

- Mój teść – Niemiec wziął mnie za ramię, aby odejść od hałasu; mówił bardzo powoli, mocno kalecząc polszczyznę – ojciec mojej żony do samego końca wojny był tutaj dyrektorem i to on zadbał, aby - przymuszony wyrokiem historii - przekazać budynek, w którym pracował całe życie, w polskie, powojenne ręce. Jak się okazuje, teraz w pańskie. Mieszkał z rodziną w tym właśnie domu, położonym obok gmachu szkoły, a tuż przed opuszczeniem tego miejsca, wiele lat temu, w tej piwnicy, zamurował jakiś rodzinny skarb. Bagaż osobisty wyznaczony przez władze przesiedleńcze, był mocno limitowany, więc rozumie pan, jak trudno było rozstać się z pamiątkami rodzinnymi – ciągle patrzył w moje oczy, był wyraźnie podniecony oczekiwaniem na rezultat poszukiwań.

- Mój teść mieszkał tu z żoną i dwuletnią córką Gretą, ta Greta jest obecnie moją żoną – mówił bardzo powoli, mocno kalecząc polszczyznę.

- Ojciec Grety już nie żyje, a jest życzeniem jego żony, matki Grety, obecnie złożonej śmiertelną chorobą, aby wyjaśnić zagadkę tego rodzinnego skarbu. Stąd obecność w podziemiach tego budynku tłumacza przysięgłego, pracownika Urzędu Celnego i przedstawiciela wydziału kultury, na wypadek ujawnienia przedmiotów stanowiących wartość zabytkową. Chcemy tę sprawę załatwić w pełni legalnie.

Hałas młotów udarowych, pył gruzu i cia-

snota piwnicznych pomieszczeń wygoniły nas z piwnicy na korytarz parteru.

- Dziś, jak pan już wie, ja pełnię tutaj obowiązki dyrektora tej szkoły – pierwszy raz poczułem dumę z tego faktu - a nasze spotkanie i jego okoliczności dowodzą, jak pięknie i tragicznie potrafią być splątane ludzkie losy – mówiłem to z poczuciem świadomości jakiejś niezwykłości tego wydarzenia. Niemiec pocierał dwoma palcami czoło nad okularami.

- Proszę przypomnieć, jak brzmi po polsku ten wiersz, który mówił mi pan na dole. Jestem nauczycielem niemieckiego i lubię melodię waszego języka; proszę sobie wyobrazić, że razem z żoną Gretą, co wtorek w Kolonii, gdzie mieszkamy, pobieramy godzinną lekcję języka polskiego – Moje imię Dieter- jego polszczyzna była w powijakach.

Tymczasem z piwnicy wychodzili, jeden po drugim, wszyscy poszukiwacze skarbów. Zakurzony, z okularami ochronnymi na czole i młotem udarowym w ręce, pan Wiesiu, nie kryjąc specyficznego zażenowania, oznajmił, że niestety pomieszczenie pod schodami było już przez kogoś przeszukane i niczego, poza śladami jakichś zbutwiałych papierów, tam nie ma.

Niemiec zszedł do piwnicy. Nie chciałem być świadkiem jego reakcji. Zdjąłem więc ze ściany kalendarz i na marginesie pod bieżącą datą zapisałem:

„Książka jest ogrodem,
Noszonym w kieszeni.
Ambrą tchnie i miodem.
Książka jest ogrodem.
Skądkolwiek jest rodem,
Kwiat mądrości pleni.
Książka jest ogrodem,
Noszonym w kieszeni."

Proponuję przetłumaczyć na język niemiecki...

A pod spodem jeszcze:

Herr Dieter:

„...Dzisiaj szukaliśmy skarbu w piwnicy tego domu, a znaleźliśmy go w naszych głowach i sercach..."

2012

O roku ty, starszy o zaledwie dwieście lat od tamtego, wcaleś nie taki młody i lepszy w porównaniu z twym młodszym bratem. Co z tego, żeś inaczej ubrany, że innymi drogami toczysz swoje wozy bojowe. Nie myśl, że zamiana map z papieru na ekran komputera wyróżnia cię i daje jakąkolwiek przewagę nad dotychczasowymi latami. To, że masz dziś wszędzie bliżej i możesz patrzeć na tę piłeczkę z kosmosu, nie znaczy, że masz prawo podbijać tę kulkę jak zabawkę. Teraz, kiedy ledwieś smarkacz, nie zadzieraj zbytnio swego światowego nosa. Twemu sprzed dwustu lat bratu też się zdawało, że zawojuje świat, że od jego pory zacznie się liczyć wreszcie coś wartościowego, coś wiekopomnego. Nie daj się nabrać na własną pychę i próżność. Niech nie zwiedzie cię pokusa taniej reklamy i łatwizna, która nigdy nie była i nigdy nie będzie miarą wartości. Nie od ciebie się zaczynam i nie na tobie się skończę. Nie tacy jak ty byli przed tobą i na pewno nie lepsi ani gorsi będą po tobie. Zostaw po sobie jak najlepsze wrażenie, inaczej przejdziesz do historii jako jeden z wielu pysznych i panoszących się swoją nicością. Zrób coś, co wyróżni cię od setek tysięcy twoich przodków. Ale uważaj, każdemu z twych poprzedników wydawało się, że wejdzie na trwałe do historii, że zapisze się w niej złotymi zgłoskami na przestrzeni dziejów. Dokonali tego jedynie nieliczni. I to przeważnie ci, dla których nie złoto było celem. Ci, dla których najważniej-

si byli ich następcy, dla których liczyło się trwanie. Nie przetrwanie, ale trwanie, wieczność. Reszta twoich poprzedników przepadła w bylejakości, pysze i poczuciu tymczasowości.

Więc, jeśli masz na tyle odwagi, jeśli masz na tyle poczucia odpowiedzialności i masz poczucie misji, musisz liczyć się przede wszystkim ze mną. I nie dlatego, że ja tak sobie życzę, że ja cię straszę, bo jestem starszy i mądrzejszy. Nie. Po prostu dlatego, że to ja mam prawdziwą władzę. Ja jestem prawdziwie wielki. To ze mną liczą się wszyscy i wszystko. I dobrze się zastanów, zanim spróbujesz mnie zlekceważyć.

I nie udawaj, że nie wiesz, kto ja jestem, bo ja nazywam się C z a s.

PALUCH

Dziwne, bardzo dziwne. Sam nie wiem, jak to się stało, przecież tylko na moment odwróciłem głowę, może też coś mi upadło, że odwróciłem wzrok, ale doprawdy na moment. A kiedy chciałem usiąść w moim ulubionym fotelu zobaczyłem, że on już tam siedzi, wygodnie rozwalony. Wpatrywał się we mnie dość natarczywie.

Wiem też, że patrzył na mnie już dłuższą chwilę – to on ściągnął mnie wzrokiem i teraz wpatrywaliśmy się w siebie; on bezczelnie spokojny i ja osłupiały, w dodatku nie mogłem oderwać od niego oczu. W jego wzroku była nonszalancja i poczucie wyższości. Tego poczucia wyższości zwłaszcza nie znoszę, bo nigdy w kontaktach z kimkolwiek nie stosowałem tego sposobu patrzenia. On zaś czując, że ma nade mną przewagę i widząc, że nie ruszę się tak szybko ze swojego miejsca, wykonał nieznaczny gest podbródkiem. Ot, lekko go uniósł, tak prawie niedostrzegalnie. A było w nim pytanie:

– No i co teraz? Chcesz się ze mną zmierzyć?

Stopa jednej nogi, którą trzymał w dłoniach dygotała niechcący, a on wpatrywał się we mnie czujnie, mimo że wiedział, jak jestem skamieniały ze strachu.

Teraz zwłaszcza, choć właściwie od samego początku czułem, że znam tego gościa, że już go gdzieś widziałem, że w życiu już spotkałem się z tym typkiem.

I kiedy tak zamurowany wpatrywałem się w jego obojętne oblicze uświadomiłem sobie wreszcie.

– Tak, ja ciebie znam! Już dawniej, choć przelotnie, zetknąłem się z tobą. Tak, tak i to nie raz i nie dwa... Znam ciebie mój szanowny kolego. I teraz, kiedy już cię rozpoznałem musisz tu zostać i posłuchać tego, co ja mam ci do powiedzenia.

O, już ja cię tak szybko nie wypuszczę...

I właśnie wtedy mój niespodziewany gość rozluźnił dłonie, zdjął z kolana stopę i postawił ją na podłodze. I patrząc mi w oczy, jakby chciał powiedzieć – Jeszcze się spotkamy – uniósł się z fotela i jakby nigdy nic, zwrócił się do drzwi. Minął mnie, ciągle osłupiałego, tak że kiedy się odwróciłem, widziałem jego sylwetkę już dość daleko, ale nie aż tak daleko, żeby nie usłyszał mego głosu. Wiedziałem bowiem, że mnie słyszy. Więc najpierw normalnie, a potem coraz głośniej wołałem za nim, żeby się zatrzymał lub chociaż odwrócił. Ale on nic. Szedł dalej, jakby nie słyszał. Wtedy wrzasnąłem za nim:

– CZASIE!!! Zatrzymaj się! Poczekaj na mnie!

Nawet się nie odwrócił. Uniósł tylko rękę z wysuniętym środkowym palcem, co miało oznaczać, że to nie on na mnie, tylko ja na niego mam czekać.

Pragniemy przedstawić naszym Czytelnikom cztery wiersze Haliny Słowik-Pisz. Ich cechą wspólną jest to, że są związane z Przemyślem. Autorka sercem pisze o „mieście moim kochanym, piękniejszym niż wszystkie inne”. Któż z przemyślan nie wzruszy się, czytając te słowa? Razem z Haliną Słowik-Pisz chodźmy na spacer po nadsańskim grodzie. Zadumajmy się też nad upływem czasu, nad przemijaniem...

Dodajmy, że swoje rozważania na temat czasu snuje w tym numerze QL również Zenon Rogala w dwóch opowiadaniach.

Drodzy Czytelnicy! Może niejeden z Was ma „w szufladzie” wiersze, które pisał z potrzeby serca? W miarę możliwości opublikujemy je w QL!

Redakcja

Halina Słowik-Pisz

Płynie czas

Płynie San, płynie Wiar,
płynie czas, płyną wieki.
Wszystko panta rej,
jak mówi stara dewiza.
Dwudziesty pierwszy wiek
nam już leci.
Odejdziemy w siną dal,
tylko nieliczni
zostaną w pamięci.
Przyjdą nowi
i zmieni się wszystko:
domy, ulice, pomniki,
myślenie, technika
i dzieci.

2011 r.

Przemyśl nocą

Gdy nocą chodzę po mieście,
a księżyc płynie po niebie,
widzę stare zabytki
wtulone w szerokie cienie.

Zaułek przy starej katedrze
wskazuje drogę na Zamek,
co usiadł na wzgórzu szerokim
i panuje teraz nad Sanem.

Miasto wieży kościołów,
starych kamienic, uliczek.
Ale dlaczego nie widzę nigdzie ratusza?
On pewnie odszedł dawno w nieznane.

Miasto moje kochane,
piękniejsze niż wszystkie inne,
posiane nad samym Sanem
i wzgórzach schodzących do niego gwieździście.

2011 r.

Szczyt Tatarski

Śpi młody chan
na szczycie góry
zwanym szczytem tatarskim.
Los zmienił bieg,
by nie został on
panem nad Sanem.
Tyle legendy słów,
tyle czasu historii.
A ilu ludzi
też sobie śpi
wokół przemyskich
nekropolii.

2011 r.

Legenda

Kiedy to Przemysław,
dzielny książę wschodni,
zapuścił się na łowy
w ciemne lasy, knieje,
dojechał do brzegów
rzeki przejrzystej.
I stanął zdziwiony
takim uroczyskiem,
jakim było wspaniałe
wzgórze nad urwiskiem.
Tu gród pobuduję
i zamek wspaniały,
i będzie to Przemyśl
nad modrą rzeką Sanem.
Jak pomyślał, tak zrobił,
gród na wzgórzu otoczył murem.
Dziś świadczą jego szczątki,
że Przemyśla to były początki.
A w grocie na skale
pustelnika spotkał,
co mu był doradcą
i na dworze jego został.
Przemysław, jak głosi legenda,
niedźwiedzia nam w herbie zostawił,
by pilnował bram miasta
i Przemyśl dalej sławił.

2011 r.

PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

W omawianym numerze kwartalnika znajdujemy blok tekstów poświęconych Grecji. Możemy przeczytać o niepodległościowych zrywach Greków i Polaków w pierwszej połowie XIX w. Z Agnieszką Korniejenko odbywamy wycieczkę na Rodos, zaś dzięki rozmowie przeprowadzonej na tej greckiej wyspie przez Monikę Maziarz poznajemy mieszkającą tam... pewną młodą przemyślankę.

Znacznie bliższą podróż zaproponował nam Mariusz Kościuk. Autor reportażu wybrał się m.in. do Chyrowa i Sambora.

W innych dwóch tekstach możemy przeczytać o cerkwiach w Chyrzynce i Wyszatycach.

Przedstawiany tu kwartalnik zamieszcza również obszerną relację ze spotkania, zorganizowanego w listopadzie 2011 r. w Przemyskiej Bibliotece Publicznej, z austriackim pisarzem, publicystą i tłumaczem – Martinem Pollackiem.

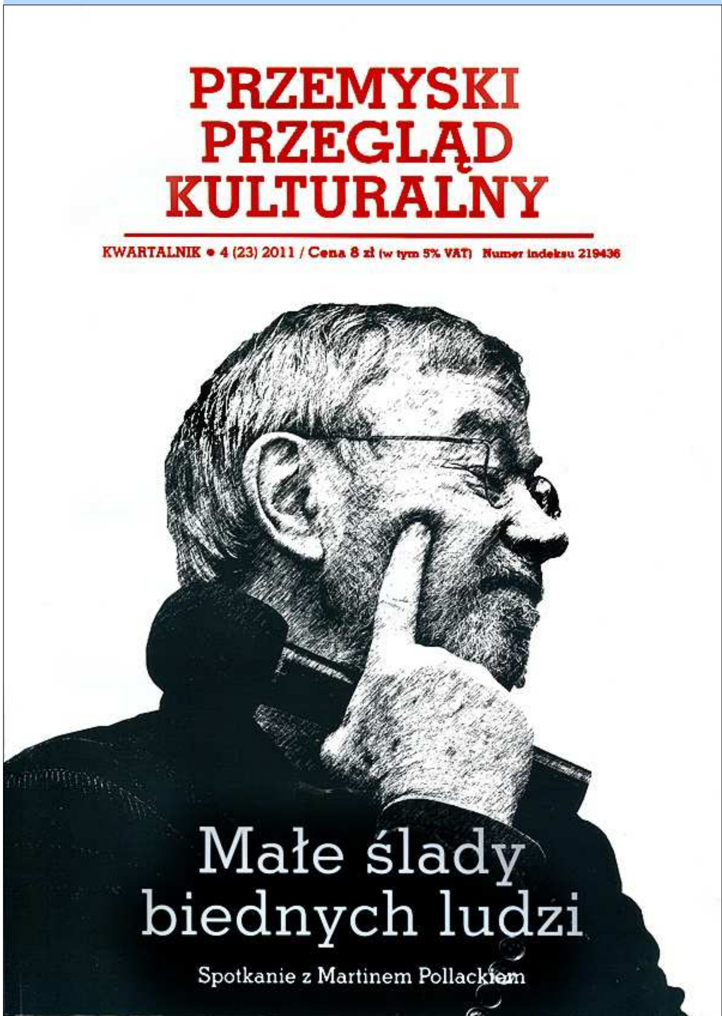
Niemało miejsca zajmują omówienia różnych książek, płyt, koncertów, a także artykuły dotyczące sztuk plastycznych.

Warto przeczytać też felieton Zdzisława Szeligi zatytułowany „Najjaśniejszy Panie!”. Oczywiście mowa o cesarzu Franciszku Józefie.

W numerze dużo zdjęć – kolorowych i czarno-białych, które są interesującym dopełnieniem zamieszczonych tekstów.

Zachęcamy do lektury!

Redakcja



Spis treści



Michał Kozera rysuje





HUMOR ŻYDOWSKI

Podróżujący proboszcz zwraca się do współpasażera Żyda:

– Opowiem wam śmieszną historyjkę. Jakiś Żyd po śmierci chciał się koniecznie dostać do nieba. Rzecz jasna, nasz święty Piotr go nie puszcza. Ale od czego, jak to mówią, kepełe pańskich współwyznawców. Zaczaił się on pod bramą i w chwili nieuwagi klucznika wkradł się, jak to wy często robicie, gdy nie proszą. Wyobraża pan sobie, jaka konsternacja! Święci Pańscy w głowę zachodzą jak tu go się pozbyć! Wreszcie ktoś, bodaj święty Ekspedyt, jako patron od ekspedycji, wpadł na pomysł. Kazał mianowicie aniołowi przed bramą nieba głośno wołać: „Handele, handele, kto da więcej”? Żyd natychmiast wybiegł, a święci zatrzasnęli za nim bramę. No i co pan na to?

Żyd:

– Aj, to jeszcze nie koniec tej smutnej historii. Przez wejście parchatego Żyda niebo zostało zapaskudzone i trzeba je było na nowo poświęcić. I niech sobie ksiądz wyobrazi, co za nieszczęście! Szukano w całym raju proboszcza, żeby poświęcił i nie znaleziono ani jednego.

<<< >>>

W Krakowie przy ulicy Floriańskiej miał sklep ramiarski znany szeroko w kołach artystycznych Maurycy Frist. Był on stałym nabywcą akwarel Juliusza Kossaka, które następnie z minimalnym zyskiem sprzedawał licznym amatorom.

Owóż pewnego poranka, kiedy zapas dzieł mistrza był już wyprzedany, a kilku klientów natarczywie domagało się nowych „Kossaków”, First, który dobierając ramy do obrazów sam siebie zaczął uważać za ich współtwórcę, zawołał pod adresem natrętnych kolekcjonerów:

– Ludzie, trzeba mieć zrozumienie dla sztuki! Czy my z panem Kossakiem jesteśmy piekarze? My malujemy wtedy, kiedy my mamy natchnienie...

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA
w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31–455 Kraków, tel.: 124113493, 601961488, e-mail: czq@onet.pl
Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, Nr konta: 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236
Redakcja: Czesław Kudła – red. nacz., M. Frodyma. Współpraca: M. Kozera, Z. Ostrowski, J. Schubert, A. Sarkady. A. Stanok

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w KRAKOWIE
MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ NIEREGULARNIE
Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania nadesłanych tekstów.
Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są z poglądami redakcji.